

walerian domański

fabryki dymu



Skład, łamanie, layout:
Lena

Redakcja
Rafał Łapiński

Korekta:
Agnieszka Thoman

Copyright 2015 © by Walerian Domański

waleriandom@gmail.com

ISBN 978-83-64195-16-7 (e-book)

Wydawnictwo „Lena”
ul. Pasteura 15a-20
50-367 Wrocław
tel. 603 96 46 39
www.wydawnictwo-lena.pl

Spis treści

Powitanie Armii Czerwonej.....	5	Józef Cyrankiewicz.....	44
Powrót.....	8	Pepesza.....	47
Szwaby wróciły!	14	Donos.....	50
Jak Żydzi ukrzyżowali Stalina	24	Podporucznik Kędziora.....	59
Zamach na Stalina	30	Gwiazda Armii Czerwonej.....	63
Bolesław Bierut	40	Hitler	66

Zbieżność nazwisk osób i nazw miejscowości jest zupełnie przypadkowa.

Źonie Krystynie poświęcam.

Powitanie Armii Czerwonej

Wieś Zagonowo podzieliła się na dwa obozy. Część gospodarzy uważała, że wchodzącą do wsi zwycięską Armię Czerwoną należy powitać bardzo uroczyście. Po staropolsku, chlebem i solą, z czerwonym sztandarem. Szczególnie stary Wojtal był za uroczystym powitaniem.

– Niech Ruskie wiedzą, że my są Ślązacy, a nie Niemce.

Jednak większość gospodarzy uważała, że należy zająć postawę wyczekującą.

– Im ciszej jedziesz, tym dalej zajedziesz – tłumaczył wszystkim dookoła ostrożny Janik

– A co będzie, jak Niemcy zwyciężą i...wrócą do wsi?

– Jak to co będzie.... Rozstrzelają nas pod płotem.

– Nie wróćą. Szwaby są KAPUT! – przekonywał Wojtal.

Trudno było podjąć właściwą decyzję. Ostatecznie po długich dyskusjach ustalono, że Armię Czerwoną powita delegacja złożona z komunistów i socjalistów wsi. Okazało się, że było ich we wsi zaledwie... trzech. Wojtal, Basior i Kupczyk – wszyscy chłopi małorolni. Mieli oni wyjść na powitanie z tacą z chlebem i solą.

– Do chleba i soli obowiązkowo trzeba dołożyć butelkę dobrego samogonu – doradził Basior, który znany był we wsi z mocnej, pijackiej głowy.

– To dobry pomysł, Ruskie lubią wypić – potwierdził Wojtal.

– A co z tłumaczem?

– Tłumacz nie będzie potrzebny, Ruskie znają polski język, przecież byli w Polsce w 1920 roku.

W kuchni przygotowano chleb, sól i butelkę mocnego samogonu. Miał co najmniej 90 procent mocy. Po długich poszukiwaniach znaleziono i tacę.

Pozostało jeszcze ułożyć treść przemówienia. Zajęło to sporo czasu, bo we wsi brak było wykształconych osób. Przemówienie zapisano na kartce z zeszytu szkolnego. Wojtal schował ją do kieszeni kurtki.

Pozostało tylko czekać na przybycie Rosjan. Czekało około dwóch godzin.

W oddali słychać było niezbyt jeszcze głośny huk motorów.

– Czołgi! – krzyknął ktoś z tłumu.

Hałas narastał. Czołgi słychać już było wyraźnie. Wreszcie je ujrzało, hen, w oddali, na horyzoncie. Stremowana delegacja wyszła na drogę na nieco drętwych nogach. Czołgi zbliżały się szybko. Na pierwszym z nich powiewała czerwona flaga z sierpem i młotem.

Taka sama flaga, tyle że bez sierpa i młota, powiewała w rękach Wojtala. W jego oczach pojawiły się łzy wzruszenia. Pozostali mieszkańcy wsi obserwowali wydarzenia z oddali, z ukrycia.

Pierwszy czołg zatrzymał się przed delegacją chłopów. Za nim zatrzymały się pozostałe. We władze pierwszego czołgu ukazał się dowódca, był brudny, zakurzony. Zdjął hełm i wówczas ujrzało, że miał twarz ze skośnymi oczami, kędzierzawe włosy, śniadą cerę. Był Azjata... Kazachem lub Uzbekiem. Na jego twarzy malowało się zmęczenie. Zeskoczył z czołgu na piaszczystą drogę. Był niskiego wzrostu, krępy. Podszedł do chłopów. Zobaczył tacę z butelką, uśmiechnął się od ucha do ucha. Chłopi odprężyli się i odpowiedzieli uśmiechami.

– Witamy Czerwoną Armie – wykrztusił Wojtal.

Czołgista nie odpowiedział. Uchwycił butelkę, odkorkował ją szybkim, fachowym uderzeniem dłoni o dno. Chłopi rozluźnili się już całkowicie. Uśmiechali się przyjaźnie, drętwota nóg ustąpiła.

Czołgista przechylił butelkę, zaczął pić.

Basiorowi na ten widok zaczęła latać grdyka. Z zazdrości – lubił bowiem wypić. Nagle, ku zaskoczeniu chłopów, czołgista gwałtow-

nie wypuł samogon i odrzucił ze złością butelkę na drogę. Wyciągnął pistolet z kabury i strzelił prosto w czoło Wojtala. Ciało bezwładnie osunęło się na drogę.

– Swołocz! – ryknął na całe gardło, wskoczył na czołg, wśliznął się do luku.

– Pajeeeechali! – krzyknął w stronę pozostałych czołgistów.

Czołgi odjeżdżały, wzniecając tumany kurzu. Chłopi stali sparaliżowani, bez ruchu. Pierwszy doszedł do siebie Basior. Podniósł butelkę z ziemi, zaczął pić. I podobnie jak czołgista... wypuł natychmiast samogon.

– Woda! – krzyknął zdumiony.

– Ktoś wypił nasz samogon, a wlał wody! – orzekł Kupczyk.

– Albo zamienił butelki! – rzekł Basior. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

Nachylił się nad Wojtalem, z nadzieją, że jednak żyje.

– Wojtal, ty żyjesz? Wojtal, odezwij się!

Po chwili wszakże powiedział z rezygnacją: – Nie żyje!

Kupczyk nie słyszał go, blady jak ściana dreptał bezradnie w miejscu.

Chłopi nadbiegali gromadą z wioski, ale Wojtal ich nie widział. Leżał martwy, z zastygłym zdziwionym wyrazem twarzy. Strumyki krwi płynącej z głowy szybko połączyły się w kałużę.

Obok leżał zakurzony czerwony sztandar. Kłosa zboża falowały na wietrze, oplakując śmierć Wojtala.

Powrót

Po zakończeniu drugiej wojny światowej kilka tysięcy byłych żołnierzy armii Andersa wraca do Polski angielskim statkiem „Princess”. Jest wśród nich kilkudziesięciu podoficerów oraz kilkunastu oficerów. W tym pułkownik Szczerba, nieoficjalnie – moralny przywódca bo według prawa nie jest już dowódcą zdemobilizowanych żołnierzy.

Żołnierze cieszą się z powrotu, toczą się rozmowy:

– Do kogo wracasz?

– Mam tu rodziców.

– Ja mam żonę i dzieci, których pewnie nie poznam. Nie widziałem ich tyle lat!

– Ja nie mam nikogo, rodzice zmarli, ale wracam na gospodarkę, wracam na swoją ziemię.

Pułkownik rozmawia z oficerami.

– Wreszcie doczekaliśmy się powrotu... Wszędzie dobrze, ale u siebie w ojczyźnie najlepiej.

– Cholera wie, jaka będzie ta Polska... – odezwał się major Suchar.

– To prawda, skoro Rosjanie są w Polsce, to już z pewnością z niej nigdy nie wyjdą! – rzekł major Kubica.

– Nic jeszcze nie jest stracone, odbędą się wolne wybory.

– Jakie tam wolne wybory! Udział biorą jedynie ludowcy, socjaliści i oczywiście komuniści! A gdzie są pozostałe partie polityczne, między innymi liczna przed wojną Narodowa Demokracja?

– Mam nadzieję, że ludowcy z Mikołajczykiem na czele i socjaliści wygrają te wybory, a komuniści nie wejdą do rządu...

– Daj Boże, daj Boże.

– Wyjdziemy na ląd, to się rozeznamy w sytuacji. Nawiaźemy kontakt tak z ludowcami, jak z socjalistami. A Narodowa Demokracja i inne partie, w tym piłsudczycy, z pewnością nie wyparowały, istnieją nadal w podziemiu. Jesteśmy im potrzebni w kraju – orzekł pułkownik.

– Nasza sytuacja nie jest dobra, mamy za sobą jedynie bezbronnych, zdemobilizowanych żołnierzy, marzących o powrocie do rodzin... Gdybyśmy przybywali z bronią w ręku, jako uzbrojona dywizja pancerna, to mielibyśmy dużo więcej do powiedzenia.

Atmosfera wśród oficerów nie była zbyt optymistyczna. Zbyt świeża była pamięć o bezowocnie przelanej krwi w Powstaniu Warszawskim. Zbyt wiele było niewiadomych o sytuacji politycznej w Polsce.

– Zwołajcie żołnierzy, niedługo dobijemy do lądu, przemówię do nich po raz ostatni. Pożegnaj ich w moim i w waszym imieniu – rozkazał pułkownik.

Rozeszli się do swych byłych podwładnych, do podoficerów. Ci z kolei rozbiegli się po statku, wydając ostatni już rozkaz zbiórki. Uśmiechnięci żołnierze sprawnie zebrali się na pokładzie.

– Stary przemówi – powiadamiano się nawzajem.

Pułkownik, równie uśmiechnięty jak żołnierze, przemówił:

– Żołnierze, wkrótce staniemy na polskiej ziemi. Po latach walk i tułaczki czas osiąść w Ojczyźnie. Ustaliłem z władzami Polski Ludowej w Londynie, że w Gdyni, a ściślej to już w porcie, nastąpi uroczyste powitanie przez cywilne władze Gdyni oraz władze centralne z wicepremierem Mikołajczykiem na czele. Następnie przemaszerujemy w szyku zwartym ulicami Gdyni. Pokażemy się ludności, która słyszała o nas, ale nigdy nas nie widziała.

Jak wiecie, w Polsce ciągle jeszcze stacjonuje Armia Czerwona, zapewniono mnie, że nie będziemy mieli do czynienia ani z nią, ani z tajną policją NKWD

– Chyba nie zapomnieliście paradnego kroku? – z uśmiechem spytał pułkownik.

– Nie, nie zapomnieliśmy! – chóralnie, wśród salw śmiechu, odpowiedzieli żołnierze.

– Bo jeśli ktoś zapomniał, to jeszcze zostało nieco czasu, niech potrenuje na pokładzie!

Żołnierze ponownie wybuchnęli śmiechem.

– Ależ kawalarz z naszego pułkownika, kto by pomyślał! – szep-tano wśród żołnierzy.

Znano go jedynie jako poważnego dowódcę. Nigdy nie widziano go wesołego. Dzisiaj twarz miał uśmiechniętą od ucha do ucha, w oczach paliły się iskierki humoru.

Pułkownik przeczekał śmiech żołnierzy. Dał znak ręką, że będzie mówił dalej.

– Co do spraw przyziemnych, czyli noclegów i wyżywienia, to także zatroszczono się o to. Mianowicie mieszkać będziemy na kwaterach prywatnych, żywienie dostarczy z kuchni polowych Wojsko Polskie. Oczywiście nie do końca naszego życia, o nie, nie liczcie na to! – znowu na twarzy pułkownika pokazał się łobuzerski uśmiech i ponownie żołnierze skwitowali wypowiedź śmiechem.

– Z pewnością ludność cywilna na kwaterach prywatnych będzie starała się was serdecznie ugościć, w tym także alkoholem. Mam nadzieję, że zachowacie umiar w jedzeniu i piciu. Jak zobaczę którego z was pijanego na ulicy, to wsadzę na kilka dni do aresztu!

Znowu pokład odpowiedział śmiechem.

– A jeśli to nie pomoże, to odeślę takiego sukinsyna do Anglii!

Ponownie śmiech żołnierzy.

– Żołnierze, w imieniu własnym oraz oficerów i podoficerów dziękuję wam za lata służby pod moim dowództwem. Życzę wam dużo szczęścia i powodzenia w życiu osobistym. Jesteście już w cywilu, lecz pamiętajcie, że byliście żołnierzami bohaterskiej dywizji pancernej generała Maczka.

– Spocznij, rozejść się! To moja ostatnia komenda.

Pułkownik otarł łzę z oka. Wielu żołnierzy także ukradkiem wycierało łzy.

Żołnierze rozeszli się, kto nie był spakowany, ten pakował swoje rzeczy w plecak. Większość jednak przebywała na pokładzie, obserwując zbliżający się ląd.

Po kilkunastu minutach statek, z pomocą holownika, dobija do nabrzeża portu Gdynia.

– Dlaczego nikt nas nie wita? – zadają sobie pytanie żołnierze i oficerowie. Na nabrzeżu oczekują jedynie żołnierze i oficerowie NKWD w charakterystycznych czapkach z czerwonym otokiem, nie ma ludności cywilnej i władz Gdyni, nie ma przedstawicieli Ludowego Wojska Polskiego.

Trzyosobowa delegacja polskich oficerów schodzi po trapie na ląd i wita się z delegacją rosyjskich oficerów.

Po wstępnym powitaniu pułkownik NKWD oznajmia, że oficerowie, podoficerowie i żołnierze muszą zejść na ląd w trzech, oddzielnych grupach.

– Oficerowie osobno, podoficerowie osobno, na końcu żołnierze. Zostaniecie przewiezieni do specjalnych obozów, gdzie zapewnimy wam nocleg i wyżywienie. Po rejestracji i przesłuchaniu każdy otrzyma suchy prowiant oraz bezpłatny bilet na podróż do domu.

– Jaki znowu obóz!? Jakie przesłuchanie!? Ambasador Polski Ludowej w Londynie zapewnił nas pisemnie, że jako zdemobilizowani żołnierze nie będziemy mieć do czynienia z Armią Czerwoną, z NKWD, a jedynie z władzami cywilnymi!

– Zapomina pan, pułkowniku, że obecnie Polska jest okupowana przez Armię Czerwoną i władzę w Polsce sprawuje Armia Czerwona. Oczywiście tymczasowo, do czasu wyborów, ale jednak sprawuje. A NKWD jest jej składową częścią.

– Co ty, Ruski, nam tu pieprzysz... My jesteśmy u siebie, w Polsce, ty nie będziesz nam rozkazywał! – to wzburzony major Sawicki wyskoczył z szeregu przed pułkownika i niemal dotknął swym wystającym nosem twarzy pułkownika NKWD.

W tym samym momencie otrzymał niespodziewane uderzenie w twarz otwartą dłońią od barczystego majora NKWD stojącego tuż przy pułkowniku NKWD. Polscy oficerowie ruszyli, aby pomścić zniewagę kolegi.

– Stać, ani kroku! – ostro rozkazał pułkownik Szczerba.

Oficerowie polscy zatrzymali się, przyzwyczajeni do wykonywania jego rozkazów. Stojący w pobliżu żołnierze NKWD zdjęli z ramion karabiny i wycelowali je w Polaków.

– W tej sytuacji nasza rozmowa nie ma sensu, żegnam! – pułkownik Szczerba odwrócił się na pięcie, nawet nie salutując Rosjanom, jak jest przyjęte w żołnierskim zwyczaju, i spokojnym, lecz energicznym krokiem pomaszerał w stronę trapu. Oficerowie podążyli za nim, zaciskając pięści. Major Sawicki tarł policzek i kłął siarczyście Ruskich.

Scena ta była obserwowana przez tysiące polskich żołnierzy, w tym oficerów i podoficerów.

Wywołała najpierw zdumienie, a potem wielkie wzburzenie żołnierzy na statku. Delegacja wraca na statek. Zdenerwowany pułkownik dramatycznym głosem ponownie przemawia do żołnierzy:

– Żołnierze! Kto nie ma rodziny w Polsce, kto ma siłę wytrwania na obczyźnie... niech wraca do Anglii. Polska nie jest niepodległa, Polską rządzi Rosjanie! Polską rządzi policja NKWD! Obiecano nam przyjazne powitanie przez władze cywilne miasta i władze centralne z wicepremierem Mikołajczykiem na czele. Obiecano, że przemaszeraujemy ulicami miasta jako zdemobilizowany bojowy oddział dywizji pancernej generała Maczka. Obiecano nam, że nie będziemy mieli do czynienia z Armią Czerwoną, a jedynie z Wojskiem Polskim. Sami widzieliście, jak zostaliśmy przyjęci. Ale to nie wszystko... Pułkownik z NKWD oznajmił nam, że wszyscy będziemy przetrzymani w obozie i przesłuchani! Osobiście wracam do Anglii, mimo że serce mi się kraje z tęsknoty za Ojczyzną! Dostałem srogą nauczkę, że bezbronny żołnierz nie powinien wracać do okupowanej Ojczyzny!

Pułkownik zakończył przemówienie, otarł pot z czoła, odszedł na bok i oparł się o burtę. Oficerowie otoczyli go w milczeniu.

– Panowie, zostawcie mnie samego... W Polsce oczekuje mnie żona i dzieci. Ale nie miałem wyboru, musiałem żołnierzom dać przykład, musiałem zachęcić ich do powrotu... Ale do Anglii, nie do Polski, jak marzyliśmy. Smutne to.

Oficerowie odeszli na kilka kroków od pułkownika.

– Co robimy? – spytał młody porucznik Zawisza.

Nikt mu nie odpowiedział.

Żołnierze zastanawiali się w samotności lub dyskutowali w grupach. Trudno jest podjąć decyzję powrotu do Anglii, skoro wymarzona Polska jest tuż, tuż!

Niemal wszyscy oficerowie i podoficerowie postanawiają wracać do Anglii. Jedna trzecia żołnierzy postanawia także wrócić do Anglii.

Mają miejsce dramatyczne pożegnania. Przykładowo bracia Paproccy rozdzielają się, płacząc jak dzieci, młodszy Andrzej wraca do Anglii, starszy Staszek schodzi na ląd, ma w Polsce żonę.

– Pozdrów ojca – krzyczy do niego Andrzej.

– Pisz jak najczęściej i wracaj, co się będziesz tułał po obcych!
– odkrzykuje Staszek.

Statek odbija od nabrzeża i powoli odpływa. Ci ze statku patrzą z zazdrością na tych na nabrzeżu i... vice versa. Nikt nie wie, kto podjął słuszną decyzję.

Statek powoli znika na horyzoncie, dawni żołnierze, już cywile i obywatele Polski Ludowej, patrzą za nim w ponurym milczeniu.

Szwaby wróciły!

Janek Mularczyk, Andrzej Zawiślak i Józek Sękowski byli dobrymi przyjaciółmi. Mieszkali blisko siebie. Byli młodzi, mieli po około 18 lat. Rodzice prowadzili gospodarstwa rolne, a oni im pomagali. Zimą zaś praktycznie „zbijali bąki”, czyli nudzili się. Nie różnili się zbyt od innych młodych ludzi w Dąbrowie.

Był rok 1945. Do Dąbrowy przybywali nowi, już polscy osadnicy, na miejsce miejscowej ludności niemieckiej, która emigrowała, wywożona pod przymusem do Niemiec. Polacy mieszkali obok Niemców. Wszyscy nowo przybyli Polacy traktowali swój pobyt na Ziemiach Odzyskanych jako tymczasowy. Chodziły słuchy, że wkrótce wybuchnie trzecia wojna światowa i że Niemcy wkrótce powrócą. W Dąbrowie, podobnie jak w innych miejscowościach Dolnego Śląska, można było w wielu domach usłyszeć zażarte dyskusje:

- Jak się Ameryka z Anglią rzucą na Ruskich, to tylko pierze polec!
- Racja... To przecież niemożliwe, żeby pozwolono Ruskim zagarnąć Lwów i Wilno!
- Panowie, tu nie tylko o Polskę chodzi. Ruskie zagarnęły także Czechosłowację, Węgry, Bułgarię, Rumunię i pół Niemiec! Zachód nie taki głupi, aby im na to pozwolić.
- Tak, tak... A jak się Ruski postawi... to mu rzucą na łeb bombę atomową, jak na Hiroszimę i będzie po Ruskim!
- Jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa!
- Druga bomba atomowa i...wrócimy znów do Wilna!

Takie to gadki chodziły między ludźmi. Polacy co prawda obsiali pola, ale nie byli pewni, czy uda im się zebrać plony przed spodziewaną wojną. O remontach i naprawach domów nie było mowy. Panował nastrój tymczasowości. Praktycznie siedziano na walizkach. Komunistyczne gazety wprawdzie głosiły, że „wróciliśmy na nasze stare piastowskie ziemie i nikt nas już stąd nie ruszy”, ale kto by tam wierzył komunistom.

– Poza tym... polscy komuniści zrobią to, co im rozkaże Moskwa. Każą im opuścić Ziemię Zachodnie, to opuszczą – mówiono.

Powszechna wiara w tymczasowość sytuacji nie dziwiła. Ci ludzie w krótkim czasie przeżyli wiele zmian. Polacy z Wileńszczyzny w 1939 roku dostali się pod okupację litewską (Rosjanie oddali Litwie polskie Wilno, w zamian zaś ulokowali na Litwie pięć baz wojskowych). Potem, w 1941 roku nastąpiła okupacja niemiecka (po niespodziewanym ataku Niemców na Rosję). Wreszcie Rosjanie wyparli Niemców i Wilno dostało się ponownie pod okupację rosyjską (mimo że formalnie utworzono Litewską Socjalistyczną Republikę Rad).

Ale trzech przyjaciele, Janek, Andrzej i Józek nie zawracali sobie głowy tymi dyskusjami politycznymi. Bardziej ich interesowały pogłoski, że Niemcy, uciekając, pochowali złoto, srebro, biżuterię i broń. Oczami wyobraźni widzieli siebie jako odkrywców skrzyń ze złotem i biżuterią. Spenetrowali każdy zakątek w budynkach swoich gospodarstw. Przeszukali piwnice, strychy i wszelkie zakamarki. Pruli ściany i sufity w poszukiwaniu niemieckich skarbów. Nic jednak nie znaleźli. Byli rozczarowani, tym bardziej że wokół opowiadano historyjki, jak to ludzie bogacili się z dnia na dzień, znajdując złoto, srebro, kryształ i biżuterię.

Pewnego dnia wpadli na pomysł, aby spenetrować piwnice w Zamku (w rzeczywistości był to olbrzymi pałac, a nie zamek, ale taka nazwa przyjęła się wśród ludności Dąbrowy). Przygotowali się starannie. Zabrali ze sobą żywność (kiełbasa z chlebem), kilof, łopatę, latarki, lampę naftową, worki, gruby sznur i kłębek sznurka szpagatowego używanego do snopowiązałek. Nie zapomnieli o dwulitrowej butelce bimbrowy. Wyruszyli wcześniej z rana i po 15 minutach stanęli pod Zamkiem.

Zamek był niezamieszany i dostępny dla każdego. Dzieci z okolicznych domów chętnie bawiły się tu w chowanego. Łatwo było ukryć

się w olbrzymich salach, świecących obecnie pustką i doszczętnie zrujnowanych przez stacjonujący tu czasowo oddział Armii Czerwonej. Na szerokich schodach dzieci urządzały sobie wyścigi.

– Kto pierwszy dobiegnie na dół, z góry, z trzeciego piętra?

Szczególnie rozległy strych, z olbrzymim, pustym obecnie zbiornikiem wody pitnej, nadawał się idealnie do zabawy w chowanego.

Tym razem Zamek był pusty. Było zbyt wcześnie na zabawy dzieci.

Trójka odkrywców zagłębiła się w rozległe i kręte piwnice. Aby się nie zagubić, rozciągnęli sznurek szpagatowy. Jeden jego koniec uwiązali do klamki drzwi i rozpoczęli wędrówkę po skarby. Od czasu do czasu rozchodzili się na boki, aby spenetrować liczne pomieszczenia. Było brudno, wilgotno i od czasu do czasu pojawiały się kałuże stęchłej wody. Najchętniej by zawrócili, ale żądza pieniądza była silniejsza od strachu. Po dwu godzinach wędrowania poczuli zmęczenie i głód.

– Cholera, trzeba by coś zjeść!

Rozsiedli się i zjedli swoje zapasy żywności, a przy okazji łyknęli bimbru. Odpoczęli, po czym podjęli wędrówkę.

– Coś nie widać tych skarbów!

– Może są zamurowane?

– Może i są, ale jak na razie nie widać świeżego muru...

Skończyli posiłek i ruszyli dalej ciemnymi, ponurymi korytarzami. Szli coraz dalej i dalej. Sznurek się skończył, oni szli jednak uparcie dalej.

– Mówią, że te piwnice ciągną się aż do kościoła świętego Jerzego...

– Coś ty, one się ciągną aż do Świdnicy, a to będzie ze dwadzieścia kilometrów.

– Niektórzy mówią, że aż do Wrocławia, czyli siedemdziesiąt kilometrów!

Przerwali dyskusję, bo w pewnym momencie niespodziewanie natknęli się na... świeży mur!

Patrzyli nań zdumieni, z niedowierzaniem. Byli przecież już tak blisko podjęcia decyzji powrotu. Czyżby udało się znaleźć skarby?

– Nie ma co się gapić. Dawać tu kilof i zaczynamy rozwalać! – zakomenderował Janek.

Podjejmowali marynarki i swetry, rozpoczęli kruszenie muru. Był solidny i tak łatwo się nie poddawał. Spocili się solidnie przy tej robocie. Kuli na zmianę, gdy jeden kuł, dwóch odpoczywało.

– Cholernie mocny ten mur...

– Wysilek się opłaci, złoto będzie nasze! – Andrzej zacierał ręce.

Wiara w ukryte złoto dodawała im sił. Praca wymagała jednak od nich solidnego wysiłku. Ściana była murowana na zaprawie cementowej, z dobrej jakości cegły.

Wreszcie przebili otwór. W głębi w świetle latarki ujrzeli drewniane skrzynie spiętrzone jedna na drugiej.

– O Jezu... tyle złota, co my z nim zrobimy?

– Ty się lepiej martw... jak zatargać to złoto do domu! Przecież to będzie wielki ciężar!

– Oczywiście nikomu... ani mru, mru!

Poszerzyli otwór. Pierwszy przecisnął się Janek, a za nim pozostali. Janek zaczął podważać pokrywę skrzyni łomem. Pozostali zaś przygotowali worki.

Wreszcie pokrywa skrzyni została usunięta i ich oczom ukazały się... poukładane równiutko pistolety maszynowe. Chwilę stali w milczeniu.

– Co z tym zrobimy?

– Cholera wie, zobaczymy, co się znajduje w innych skrzyniach.

W następnych także nie było złota. Była amunicja, hełmy, granaty, mundury Wehrmachtu. Były ciężkie karabiny maszynowe. Było też kilka ręcznych wyrzutni przeciwczołgowych, tak zwanych pancerfaustów. Były także pasy skórzane i buty żołnierskie. Nie było, niestety, wymarzonego złota.

– Dawajcie ten bimber, trzeba się wzmocnić i pomyśleć co dalej – rzekł Andrzej.

Siedzieli na skrzyniach i popijali bimber. Byli zaskoczeni, zdeorientowani niespodziewanym znaleziskiem.

– Jak mamy takie uzbrojenie, to możemy ruszyć na Ruskich – rzekł Józek.

– We trójkę na całą Armię Czerwoną?... Zwariowałeś?

– Można założyć oddział partyzancki i napadać na posterunki milicji.

– Wy to jak dzieci, wybijcie sobie z głowy posterunki milicji, myślcie realistycznie... Skórzane buty każdy gospodarz we wsi chętnie kupi i z tego będą pieniądze!

– Mundury można przefarbować i sprzedać na targu – dodał Józek. Dyskutowali i popijali bimber, który miał „swoją moc” i uderzył im mocno do głowy.

Janek zdjął starą marynarkę i mocno zniszczone spodnie.

– A ty co, będziesz się kąpał? – zażartował Józek.

– Nie kąpał, tylko zrobię przymiarkę munduru, jak się przefarbuję i przerobi, to będzie ubranie do pracy w polu... Jak ula!

Pozostali chłopcy poszli w jego ślady. Zdjęli stare, zniszczone marynarki i spodnie, wyciągnęli mundury i przebrali się w niemieckie mundury. Następnie założyli nowiutkie skórzane buty żołnierskie, założyli także i hełmy. Z pistoletami maszynowymi wyglądali jak prawdziwi żołnierze Wehrmachtu. Patrzyli na siebie zdumieni zmianą swojego wyglądu. Z obszarpańców stali się nagle żołnierzami w eleganckich mundurach. Patrzyli na siebie, nie wierząc, że strój tak bardzo zmienia człowieka.

– Przydałby się chociaż jeden mundur oficerski – zamarzył Józek.

– Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera – rzekł kpiąco Andrzej.

– Wiecie co, postraszymy ludzi! Postrzelamy w powietrze!

– Ale będą wiać!

– Jak nas zobaczą w tych mundurach, to posrają się ze strachu!

Zgarnęli do worków żołnierskie buty. Ruszyli z powrotem do wyjścia. Szczęśliwie, bo bez długiego błędzenia, wydostali się z piwnic Zamku na zewnątrz.

Dzieci bawiące się na podwórzu Zamku na ich widok pouciekały z piskiem do budynków czworaków mieszczących się przed Zamkiem.

A oni szli dumni, z bronią gotową do strzału.

– To co... Strzelamy?

– Czemu nie?

Oddali kilka serii w powietrze. Zaczęli głośno przeklinać po niemiecku (nie znali niemieckiego, ale znali niemieckie przekleństwa, podobnie jak wszyscy Polacy).

Gdy szli szczęśliwi, czując się jakby byli na paradzie wojskowej, w tym czasie w czworakach powstał niesamowity popłoch. Najpierw przybiegły dzieci z co najmniej dziwną wiadomością o żołnierzach

niemieckich. Potem usłyszano serie z pistoletów maszynowych i głośne niemieckie przekleństwa. Pierwsza zorientowała się „w czym rzecz” stara Kosińska.

– Jezus Maryja, Szwabycy wrócili! – wrzasnęła w stronę sąsiadów.

Błyskawicznie zaczęła pakować rzeczy osobiste do walizki, za nią zaczęli się pakować sąsiedzi. Tak jak za Niemca, tak jak za Ruskich.

– Pakować się, Niemcy wracają – nawoływali się przerażeni ludzie.

Wyprowadzano śpiesznie konie, krowy. Ładowano na wozy skromny dobytek.

– Popatrz Janek, jak ludziska spieprzają!

– Hände hoch! – krzyknął Janek ze śmiechem w stronę tłumu i posłał serię ponad dachami, w stronę ludzi.

Tłum zaczął uciekać w popłochu. Uciekano ulicą Świdnicką w stronę Borunia. Po drodze dołączali inni i tłum rósł w oczach niby wezbrana rzeka.

– Podobno wylądował desant spadochroniarzy niemieckich.

– Jaki tam desant, Niemcy przyjechali czołgami. Wyraźnie słyszałem huk czołgów.

Gdy coraz większy tłum, wraz z wozami załadowanymi dobytkiem, walił w stronę Borunia, nasi bohaterowie doszli do restauracji „Sielanka” i właśnie zastanawiali się, jak używa się granatów. Okazało się, że Andrzej wiedział. Kiedyś ojciec pokazał mu, jak się w stawie granatem ogłusza ryby.

– Odsuńcie się ćwoki, ja wam zademonstruję rzut granatem – rzekł z ważną miną Andrzej.

– Ale w co będziesz rzucał? Przecież tu nie ma Niemców!

– W co bądź. Mogę wrzucić granat do restauracji „Sielanka”. Tak robili chłopcy z Armii Krajowej w Warszawie.

– Rzucali granaty w Polaków w restauracji?

– Nie w Polaków ćwoku, ale w Niemców, bo tam były niektóre restauracje tylko dla Niemców. Sprawdź tylko, czy nie ma kogoś w „Sielance”.

Janek wszedł do restauracji sprawdzić.

– Chłopaki, nie ma nikogo, ale za to na półkach stoją butelki z wódką!

– Nie będziemy rzucać granatów w butelki, szkoda alkoholu. Lepiej go wypić!

Weszli do środka. Klienci pouciekali, zostawiając na stołach butelki z wódką, puste kieliszki i ciepłe jeszcze potrawy na talerzach. Chłopcy usiedli przy stole i zaczęli popijać wódkę oraz posilać się pozostawioną zagrychą.

Całkowicie zapomnieli o planowanej próbie z granatami. Do dwóch litrów wypitego bimbru dorzucili teraz następne porcje alkoholu, który smakował o wiele lepiej aniżeli bimber.

– Złota nie mamy, ale za same buty zbierzemy sporo pieniędzy.

– Będziemy mogli przychodzić codziennie do „Sielanki” – zamarzył Andrzej.

– Mundury można będzie przefarbować, odciąć guziki Wehrmachtu, przyszyć normalne i sprzedawać na targu.

I tak to chłopcy pocieszali się brakiem złota, srebra i biżuterii, pijąc i jedząc za darmo. Nie wiedzieli, że w tym czasie tłum uciekinierów z Dąbrowy docierał do Borunia, i że pierwsze sygnały o „niespodziewanym ataku Wehrmachtu” dotarły już do komendy powiatowej milicji. Rozdzwoniły się telefony do stolicy województwa i do Warszawy.

Zaskoczenie władz było całkowite. 25 kilometrów od Dąbrowy stacjonował w Świdnicy oddział Armii Czerwonej i on to otrzymał z dowództwa Okręgu Północnego Armii Czerwonej w Legnicy rozkaz dokonania rekonesansu.

– Tolko ostrożno, Giermańców mnogo i u nich tanki – przekazano do Świdnicy.

Alarm poderwał pułk Armii Czerwonej ze Świdnicy na nogi. Załadowano żołnierzy na samochody i ruszono w pośpiechu do Dąbrowy przez Lutomię i Piskorzów. Żołnierze uzbrojenie mieli marne, jedynie zwykłe, kilkustrzałowe karabiny, a jeden lekki karabin maszynowy przypadła na kompanię żołnierzy.

A trójka „Niemców” w tym czasie piła i posilała się beztrąsko, nie zdając sobie sprawy z zamieszania, które spowodowała. Wódki w restauracji było sporo i żał ją było zostawić. Zakąsek też nie brakowało... W kuchni znaleźli sporo porcji przygotowanych dla klientów, był śledzik w śmietanie, była kiełbasa i bigos na gorąco oraz oranżada i woda mineralna. Jak tu zostawiać takie dobro!

Od czasu do czasu któryś z nich przysypiał z głową opartą na stole pokrytym ceratowym obrusem. Jak się budził, to nalewał ponownie do kieliszków.

W pewnym momencie Janek ujrzał przez okno nadjeżdżające od strony Piskorzowa samochody ciężarowe wypełnione żołnierzami w hełmach z czerwoną gwiazdą.

– Chłopaki, bolszewicy nas atakują!

Złapali za pistolety maszynowe, na chwiejnych nogach zajęli pozycje strzeleckie przy oknach. Samochody z żołnierzami stanęły na moście tuż przed „Sielanką”. Widocznie Rosjanie zastanawiali się, w którą stronę skręcić. Z ich prawej strony mieli wysoki mur okalający Zamek i drogę w górę Dąbrowy, w lewo zaś drogę do Borunia.

– Chłopaki ognia, bić bolszewików! – wydał Janek rozkaz i pociągnął za spust.

Serie kul dosięgły jedynie pierwszą ciężarówkę, a ściślej mówiąc, dosięgły kierowcę i siedzącego obok niego majora. Obydwaj zginęli na miejscu. Młody kierowca i stary major. Przeżyli szczęśliwie całą wojnę, a tu nagle tak głupio zginęli...W czasach pokoju, po wojnie. Pozostali żołnierze z pierwszej ciężarówki wysypali się na drogę i... poczęli uciekać z powrotem, czyli w stronę Piskorzowa.

Pozostałe samochody wycofywały się pośpiesznie tyłem, z piskiem opon.

– Chłopaki... Ruskie uciekają! – krzyknął Janek radośnie.

Chłopcy nie wierzyli swoim oczom. Potężna i bohaterska Armia Czerwona nie podjęła walki, nie oddano w ich stronę ani jednego strzału!

Chłopcy byli zdziwieni i jednocześnie szczęśliwi. Rosjanie zaś wkrótce zniknęli im całkowicie z pola widzenia, wycofując się w stronę Piskorzowa, pozostawiając samochód transportowy z zabitymi kierowcą i majorem.

– Ale spieprzali!

– Tchórze!

– To ci dopiero bohaterowie Krasnoj Zwiezdy!

Po emocjach walki wkrótce nieco wytrzeźwieli.

– Co robimy dalej?

– Jak to co, bronimy naszych pozycji!
– Jakich pozycji, to przecież „Sielanka”, a nie pozycje.
– Co będzie, jak wrócą tu z czołgami?
– Zgniotą nas jak muchy!
– Wydaje się, że trzeba brać nogi za pas. Sami nie pokonamy Armii Czerwonej – zawyrokował najbardziej rozsądny lub być może najmniej pijany Janek.

Spotkał się z lekkim oporem ze strony kolegów.
– Coś ty, bez honorowej kapitulacji?
– Zamkną nas w więzieniu i tyle będziesz miał z twojej „honorowej” kapitulacji... U Ruskich nie ma honoru.
– Ja się komunie nie poddam!
– Podciągną armatę albo czołg, pierdolną z grubej rury i będzie po nas.

Ostatecznie posłuchano Janka. Niechętnie, bo niechętnie, ale jednak chłopcy postanowili porzucić swą placówkę. Zabrali ze sobą broń, mundury i worki z butami. Zapakowali w zwinięty obrus kilkanaście butelek wódki i wyszli tylnym wyjściem, obładowani niczym wielbłądy. Na ulicach było pusto, nie spotkali żywej duszy.

Ulicą Świdnicką spokojnie doszli do swoich domów. Zastali je puste, rodzice z innymi uciekli w stronę Borunia. Zdobywcy pochowali worki z łupem w stodołach.

A żołnierze Armii Czerwonej oczywiście wrócili na pole bitwy, wzmocnieni kilkoma czołgami przybyłymi z Legnicy. Na szczęście nie było potrzeby użycia czołgów dla zdobycia „Sielanki”. Do środka wrzucono jedynie na wszelki wypadek kilka granatów. Z zeznań świadków Rosjanie doszli do słusznego wniosku, że Niemcy pokazali się najpierw koło Zamku. Przeszukano okolicę Zamku i sam Zamek. I nie znaleziono tam Niemców, ani nie znaleziono ukrytej w piwnicach Zamku broni i mundurów. Być może dlatego, że szukano zbrojnego oddziału, a nie ukrytych skrzyń. Być może po prostu szukający nie mieli szczęścia. Patrole Czerwonej Armii przeszukały Dąbrowę i sąsiednie wioski, ale bez rezultatów. Niemców nie znaleziono.

Uznano, że Niemców zrzucano na spadochronach i że ukryli się oni w Górach Sowich, prawdopodobnie w lochach koło Walimia. Tym

bardziej że wielu świadków potwierdzało wersję o spadochroniarzach.

Zarządzono więc ostre pogotowie oddziałów Armii Czerwonej w całym powiecie. Jedną kompanię żołnierzy pozostawiono w Dąbrowie do patrolowania ulic. Mieszkańcy wrócili do swoich domów. Na noc barykadowano jednak okna i drzwi. Na ulice nie wychodzono samotnie, nawet w dzień. W przyspieszonym tempie ewakuowano z Dąbrowy wszystkich mieszkańców pochodzenia niemieckiego.

Co tu kryć, Dąbrowa żyła w strachu. Po miesiącu jednak o Niemcach niemal zapomniano i ostatecznie mieszkańcy uznali, że są bezpieczni.

– Pewnie Niemcy przenieśli się na inny teren – zawyrokowano.

Po kilku miesiącach chłopcy nabrali odwagi i próbowali odnaleźć swój skarb w Zamku, ale bezskutecznie. Mimo wielokrotnych prób nie natrafili na miejsce, w którym ukryta była broń i wyposażenie żołnierskie. Nic dziwnego, wszak piwnice Zamku to olbrzymi, rozległy labirynt. Za pierwszym razem musieli mieć po prostu dużo szczęścia. Żyją do dzisiaj ze świadomością, że dokumentnie pokpili sprawę ponemieckich skarbów. A co gorsza, nikt im nie wierzył, gdy z podnieceniem opowiadali wieczorami w „Sielance” o istnieniu skarbu. A nie wierzono im, ponieważ nikt z mieszkańców Dąbrowy nie natrafił na ten skarb, mimo licznych kolejnych wypraw w piwnice Zamku. Ze strachu zakopali mundury i broń, bojąc się skutków awantury, którą wywołali. Z czasem, zniechęceni, przestali opowiadać o dramatycznym zdarzeniu. Być może sami przestali wierzyć w to, co się im przydarzyło.

Jak Żydzi ukrzyżowali Stalina

Był 1946 rok. Tak się złożyło, że w wiosce Lipnica na Ziemiach Odzyskanych, na obecnym Dolnym Śląsku, zamieszkiwali sami Żydzi, repatrianci z Rosji, w sumie pięćdziesiąt rodzin żydowskich. Byli to Żydzi całkowicie zasymilowani, nie było wśród nich ani jednego religijnego żyda. Nie było w wiosce rabina, nie było świętych ksiąg, nie było synagogi. Najbliższa znajdowała się w mieście powiatowym. W wiosce nie przestrzegano nawet szabasu. Pewnej niedzieli w miejscowej świetlicy urządzono zabawę taneczną, młodzieńcy żydowscy popili sobie zdrowo i któremuś z nich wpadło do głowy, aby ukrzyżować... Stalina.

– Ukrzyżowaliśmy Jezusa, ukrzyżujemy i Stalina! – zaproponował Szłoma.

– Niegłupi pomysł, Jezusa ukrzyżowano niewinnie, ale temu mordercy ukrzyżowanie z pewnością się słusznie należy! – potwierdził Judko.

– Ale skąd weźmiesz Stalina? Zaprosisz go do przyjazdu z Moskwy do Lipnicy? – spytał ironicznie Szmul.

– Powiesimy go symbolicznie... Powiesimy jego portret!

– Skąd weźmiesz portret Stalina? – Szmul nie dawał za wygraną.

– Z tym nie ma problemu.... U nas w domu wisi portret Stalina obok portretów Marksa, Engelsa i Lenina. Ojciec ciągle wierzy w tego mordercę – rzekł Icek.

– No to na co czekasz, Icek, szybko przynieś ten portret. Będziemy mieli ubaw po pachy.

Icek pobiegł do domu i wkrótce przyniósł z domu portret. Powiesili portret Stalina na krzyżu stojącym przy wiejskiej drodze, a postawionym jeszcze przed wojną przez miejscową ludność niemiecką, wysiedloną obecnie do Niemiec.

Pohałasowali przy tym krzyżu, wyzywając Stalina od świni z Gruzji i mordercy, porzucali w Stalina kamieniami... A potem poszli pić i tańcować dalej. Nad ranem rozeszli się do domów. Przespali się nieco, a późnym ranem dołączyli do rodziców pracujących w polu już od świtu. O Stalinie wiszącym na krzyżu zapomniano.

Pech chciał, nazwijmy go: pech numer jeden, że w południe Mosze Rozenberg – sekretarz powiatowy partii z Bronowic wybierał się do Durkowic i kazał jechać kierowcy przez Lipnicę.

– Zobaczę, co tam słyhać u mego brata i jego Żydków – rzekł do kierowcy Szmula.

Wjechali na ulicę Botwina i przez Bronowice Dolne skierowali się na Lipnicę. Wyjechali z miasta na pola pełne pszenicy, żyta, ziemniaków. Świeciło słońce i panowała cisza niczym makiem zasiał.

Jedynie gdzieś tam wysoko, na niebie, wisiało gorące słońce oraz rozśpiewany skowronek.

Mosze rozparł się wygodnie na siedzeniu auta. Poczul się szczęśliwy jak nigdy. Przecież jeszcze tak niedawno ukrywał się u chłopca w piwniczce wykopanej specjalnie dla niego w stodole. Głodował, było mu zimno i żył ciągle w strachu, że jego kryjówka zostanie odkryta. Wątpił, czy przeżyje ten okrutny czas hitlerowskiej okupacji. Przeżył, doczekał się nadejścia Armii Czerwonej i teraz jako przedwojenny komunista, żyje jak „król”.

– Szmul, jedź wolniutko, niech się przypatrzę, jak pracują moje Żydki.

Auto sekretarza partii, popularna radziecka победа, posuwając się z małą szybkością, mijało ludzi pracujących w polu. Sekretarz pozdrowiał ich, a oni kiwali mu w odpowiedzi ręką, nie podnosząc zbytnio głów i nie przerywając pracy.

Mosze zabrał wprost z pola swego brata Abrahama – sekretarza partii Lipnicy. Obydwaj sekretarze pozdrowili się serdecznie, wsiedli do auta i rozpoczęli rozmowę na temat problemów wsi. Abraham

zaczął, jak zwykle, narzekać na brak narzędzi i maszyn rolniczych, na braki w miejscowym sklepiku.

– Chleb przywożą nam stary, z opóźnieniem i do tego niesmaczny. Podobnie z kiełbasą, masłem, serem. Poszukiwanych przez ludzi konserw mięsnych i rybnych nie dowożą zupełnie – narzekał Abraham, zdając sobie sprawę, że to i tak nic nie zmieni. Narzekał z przyzwyczajenia.

– Ty się ciesz, że jesteś na wsi. W mieście jest jeszcze gorzej. W ściślejszej tajemnicy powiem ci, że żywność z Polski jest wywożona do Rosji, stąd te braki. A do tego mamy poważne braki w transporcie, w fabrykach przetwórstwa żywności i tak dalej. Ale są to braki przejściowe, wkrótce powinna nastąpić poprawa.

– To też to powtarzam stale moim Żydkom, już mnie gęba boli od tego gadania.

– A co oni na to?

– Wiesz, ludzie, jak to ludzie, są niecierpliwi, zapomnieli, jak głodowali w Rosji. Uważają, że skoro ciężko pracują na roli, to im się coś za to należy i to natychmiast.

– Muszą być cierpliwi, muszą poczekać.

Pech chciał, nazwijmy go pechem numer dwa, że przy wjeździe do wsi Mosze uniósł przypadkowo głowę do góry i... zauważył zdemolowany portret Stalina rozpięty na przydrożnym krzyżu. W pierwszej chwili zaniemówił ze zdziwienia i przerażenia. Ale po chwili odzyskał głos.

– Stój, zatrzymaj się! – krzyknął do kierowcy.

Kierowca zatrzymał gwałtownie auto, aż hamulce zawyły.

– Co się stało? – spytał Abraham.

Mosze nie odpowiedział, wysiadł z pobiedy i stał już przy drewnianym krzyżu, z zadartą w górę głową i rozdziawioną gębą. Wysiadł także Szmul... Czegoś takiego nie widział w swoim życiu. Także Abraham wyszedł z auta i... omal nie padł trupem, gdy zobaczył portret Stalina na krzyżu.

Trzej Żydzi stali tak we trójkę przed krzyżem dłuższą chwilę w milczeniu. Pierwszy ocknął się Mosze.

– Szmul... Szybko z powrotem... Do Urzędu Bezpieczeństwa!

Obydwaj sekretarze i Szmul wsiedli błyskawicznie do pobiedy, Szmul ostro zjechał na polanę, zawrócił i pojechali z powrotem do

Bronowic, tym razem o wiele szybciej i na sygnale, niczym ambulans medyczny lub straż pożarna. Ludzie pracujący w polu dziwili się, że sekretarz partii tak szybko odfajkował wizytę w ich wsi i że powraca autem na sygnale. Na ogół sekretarz zatrzymywał się we wsi na dłużej, wypijał z bratem po kilka kieliszków wódki, zagryzając kiszonym ogórkiem i kielbasą domowej roboty. A wyjeżdżał ze wsi nie z pustymi rękoma, w imieniu wsi brat zawsze przygotowywał mu wałówkę na powrotną drogę. Dzięki temu ich wieś miała nieco lepsze zaopatrzenie w sklepiku, lepsze od sąsiednich wiosek.

– Widocznie wydarzyło się coś bardzo ważnego – pomyślano... Nikt jednak nie przeczuwał przyszłych tragicznych wydarzeń.

Bracia dotarli do Bronowic, wpadli do Urzędu Bezpieczeństwa niczym burza i złożyli meldunek dyżurnemu oficerowi. Nerwowo rozdzwoniły się telefony. Z Bronowic do województwa, a następnie z województwa do Warszawy. Natychmiast wysłano do Lipnicy ekipę złożoną ze śledczych Urzędu Bezpieczeństwa z Bronowic i ekipę milicyjną z Komendy Powiatowej. Oczekiwano także przybycia specjalnej jednostki UB z Wrocławia. W sumie zmobilizowano stu funkcjonariuszy.

Zgarnięto zdziwionych i przestraszonych mieszkańców wsi, młodzież i dorosłych Żydów z mieszkań (dzieci przewieziono do pobliskiego Domu Sierot w Dąbrowie, starców zaś do Domu Starców w Świdnicy), a także wprost z pola, i przewieziono ich do aresztu śledczego w Bronowicach. Rozpoczęły się wstępne przesłuchania. Na razie nikt się nie przyznał.

– Przyznają się, przyznają... Już my mamy swoje sposoby – twierdził kapitan Rozenzweig, Żyd stojący na czele ekipy śledczej.

Przyjechała ekipa śledczych z Wrocławia i rozlokowała się w hotelu „Polonia”. Na drugi dzień przystąpiła do pracy. O dziwo, zaczęła przesłuchiwać także sekretarza Abrahama. On także znalazł się na liście podejrzanych. Jego brat Mosze nawet nie próbował wstawiać się za bratem. Z sali przesłuchań dochodziły wzburzone głosy i krzyki bitych przesłuchiwanym.

Nikt się jednak nie przyznawał. Po dwóch dniach przesłuchiwanym zabrano w silnym konwoju do Wrocławia. Chodziły słuchy, że sprawa „ukrzyżowanego Stalina” dotarła do Żyda Jakuba Bermana, odpowiedzialnego w Biurze Politycznym za sprawy bezpieczeństwa,

i do prezydenta Bolesława Bieruta, przywódcy partii. A tym samym dotarła z pewnością do Moskwy, do samego Stalina.

Przyszłość aresztowanych Żydów z Lipnicy nie wyglądała więc zbyt pomyślnie. Kontynuowano przesłuchania, a po kilku dalszych dniach zawieziono ich, pod silną eskortą, do Warszawy. Tam zabrali się do nich – minister Bezpieczeństwa Publicznego, Żyd, generał Radkiewicz, dyrektor departamentu, Żyd, pułkownik Różański, kolejny Żyd, dyrektor departamentu Józef Światło i inni „specjaliści”. Nadal jednak nikt z Lipnicy nie przyznawał się do haniebnego czynu.

Centralny Komitet Żydów Polskich na wiadomość o wydarzeniu w Lipnicy wysłał delegację do Jakuba Bermana, aby wstawić się za aresztowanymi.

– Nic się nie da zrobić w tej sprawie, bo doszła ona już do samego Stalina – rzekł im Berman.

– To może nasi Żydzi na Kremlu, Lew Trocki, Zinowiew, Kamieniew, Beria i Kaganowicz wstawią się za nimi u Stalina?

– Z nich tacy Żydzi jak z nas biskupi – to są komuniści, już nie Żydzi. Poza tym Lew Trocki nie ma nic do gadania, bo przegrał walkę o władzę ze Stalinem i jest na zesłaniu za granicą, Kamieniew i Zinowiew zostali usunięci od władzy przez Stalina, skazani na śmierć i straceni. Jedyne Beria i Kaganowicz pozostali u władzy, ale oni są wierni Stalinowi jak psy i palcem w bucie nie kiwną w obronie Żydów. Co z wami, czy wy nie czytacie gazet? – Berman powstał zza biurka, a to oznaczało, że audyencja jest skończona.

Nie mogło być więc mowy o uwolnieniu oskarżonych przy pomocy „żydowskiej” protekcji.

Stalin bardzo się zdenerwował faktem, że Żydzi z Lipnicy, którzy zawdzięczają mu ocalenie, bo chronił ich w Sowieckiej Rosji przed hitlerowcami, tak lekceważąco potraktowali jego portret. Został znieważony, a ten mściwy Gruzin nigdy nikomu nie przebaczał zniewagi.

Po kilku dalszych dniach na Kremlu w gabinecie Stalina odbyła się poniższa rozmowa:

– Czy któryś Żyd się przyznał? – spytał Stalin Berię, podpisując przedłożone mu dokumenty.

– Niestety... Przyznali się wszyscy – odrzekł Beria i zawiesił swój wzrok na ustach Stalina, oczekując dalszych instrukcji.

Stalin zaś skierował w dół kciuk prawej ręki.

– Wszystkich...? – spytał Beria.

– Beria, co z tobą... Wszystkich, wszystkich, przecież wszyscy się przyznali... Ostatecznie to tylko 273 Żydów! – warknął zdenerwowany Stalin.

I to był koniec Żydów z Lipnicy na Ziemiach Odzyskanych w Polsce.

Rozstrzelano ich tego samego wieczoru, bez sądu, w piwnicach więzienia na Łubiance.

Zamach na Stalina

Nazywam się Iwan Konstantynowicz, jestem kapitanem Armii Czerwonej. Ścisłej mówiąc, jestem kapitanem w oddziale NKWD strzegącym bezpieczeństwa przywódcy partii Józefa Stalina. Nazywają ten oddział przybocznym batalionem wartowniczym Stalina.

Mam 30 lat. Jestem wysokim blondynem, silnym i dobrze wykształconym. Wstąpiłem do tego wyborowego batalionu, mając jeden jedyny cel: zabić Józefa Stalina. Zapytacie, z jakiego powodu?

Odpowiem wam... Z polecenia mego ukochanego ojca, Jaszy Konstantynowicza, który zobowiązał mnie do tego na łożu śmierci. Ale, aby wyjaśnić całą sprawę dokładniej, muszę cofnąć się nieco w czasie i opowiedzieć o ojcu.

Pochodził z ziemiańskiej rodziny. Po szkole średniej zaczął studiować prawo. Studiował na tej samej uczelni co Lenin. I to właśnie Włodzimierz Uljanow wciągnął go do rewolucyjnej konspiracji. Ojciec mój był bardzo uczciwym człowiekiem. Nie bardzo więc rozumiem, jak Leninowi udało się go skaptować do bolszewickiej partii. Prawdopodobnie, tak jak miliony ludzi w Rosji, uwierzył w ideę sprawiedliwości społecznej, głoszoną wówczas przez bolszewików oraz mieńszewików, socjalistów i eserowców. Starszy brat Uljanowa, Aleksander, przygotowywał zamach bombowy, zresztą nieudany, na cara Rosji. Mój ojciec pomagał co prawda w tych przygotowaniach, ale jego rola była nieznaczna i carska tajna policja zwana Ochroną nie wpadła na dowody jego udziału w zamachu. O jego roli w zamachu wiedziała zaledwie jedna osoba, która na szczęście nie została aresztowana.

Po dojściu bolszewików do władzy dowodził pułkiem, a następnie dywizją na kolejnych frontach walki z „białymi”. Walczył z Denikinem oraz z Wranglem. Walczył także z Piłsudskim w 1920 roku, będąc zastępcą słynnego marszałka Tuchaczewskiego. Miał wybitne zdolności dowódcze i organizacyjne, dlatego wysyłano go zawsze tam, gdzie było najtrudniej na frontach.

Co wówczas myślał, jak oceniał nowy system władzy, zwany komunizmem? Prawdopodobnie nie miał czasu na ocenę, będąc nieustannie zajęty zwalczaniem kontrrewolucji. W tym okresie był wojskowym, nie politykiem. Jego polem działania były pola bitwy.

Pierwsze wątpliwości zaczęły się u niego pojawiać w 1922 roku, kiedy to po chorobie Lenina, spowodowanej zamachem na jego życie, zaczęły się walki o władzę wśród przywódców partii. Jako pierwszy, rozpoczął się bój o władzę między Żydem Trockim i Gruzinem Stalinem. Wieczny „komunistyczny wojownik” Lew Dawidowicz Trocki chciał przenieść jak najszybciej rewolucję bolszewicką na teren Europy. Stalin zaś był realistą i zdawał sobie sprawę, że bez umocnienia władzy komunistów w Rosji nie ma co się pchać w nową wojnę z kapitalistycznym Zachodem. Mój ojciec poparł stanowczo koncepcję Stalina, mimo że znał go mniej aniżeli swego dowódcę Trockiego, który wówczas pełnił funkcję Naczelnego Wodza. Być może ojciec miał już dosyć wojowania? Może uważał, że trzeba skupić się wreszcie na sprawach ekonomii w kraju, w którym panowała straszliwa bieda i głód?

Po usunięciu Trockiego Stalin rozprawił się po kolei z Kamieniem, Zinowiewem i Bucharinem, bliskimi współpracownikami Lenina.

W 1934 roku po zamachu na Kirowa, sekretarza partii w Leningradzie, Stalin kontynuował swój krwawy terror na jeszcze większą skalę. Zginęło wówczas na rozkaz Stalina od pięciu do dziesięciu milionów ludzi, w tym 90 procent starych komunistów pamiętających jeszcze czasy rewolucji październikowej. Spośród 1966 uczestników pierwszego zjazdu partii bolszewickiej Stalin w 1934 roku skazał na śmierć 1108!

Spośród 139 członków Komitetu Centralnego na jego polecenie zlikwidowano 98!

Mój ojciec to wszystko obserwował i był oczywiście rozgorączkowany masakrą starych bolszewickich kadr. W gruzach legły także jego

marzenia o poprawie poziomu życia ludności. Obawiał się i o swoje życie. Stalin likwidował bowiem również wyższe kadry wojskowe.

Z powodu krwawego terroru rozpętanego przez Stalina mój ojciec stał się wrogiem, jeśli nie komunizmu, to z pewnością samego Stalina.

W 1938 roku ojciec ciężko zachorował. Serce nie wytrzymało intensywnej pracy i trudów z czasów wojny domowej. Wiek także robił swoje, ojciec był już starym człowiekiem. Przed śmiercią wezwał mnie do siebie, do szpitala. Otrzymałem przepustkę ze Szkoły Oficerskiej imieniem Frunzego i pojechałem go odwiedzić.

Wyglądał kiepsko, wychudł, posiwiał. Oddychał z trudem. Miałem łzy w oczach, widząc jak bardzo był schorowany.

Opowiedział mi o zbrodniach Stalina. Nie mogłem uwierzyć, słuchając opowiadań ojca o skazywaniu przez Stalina na śmierć niewinnych ludzi, w dodatku wiernych współpracowników Lenina, ideowych komunistów. Szczególnie wiele ścisłych informacji miał mój ojciec o czystkach wśród dowódców Armii Czerwonej. Przedstawił mi liczne dowody zbrodni Stalina. Podał wiele nazwisk skazanych oficerów.

Ojciec był jednym z wysokiej rangi dowódców, przez długi czas stojących wiernie przy Stalinie, mogłem mu wierzyć. Nigdy mnie nie okłamał.

– Musisz mi przysiąc, że zabijesz tego potwora – wyszeptał słabym głosem, a jego błyszczące gorączkowo oczy, prześwieślały mnie na wskroś.

– W jaki sposób mam to zrobić... Przecież ma silną ochronę?

– Załatwiłem z moim wieloletnim przyjacielem, dowódcą batalionu ochrony Stalina, że weźmie cię do siebie, do batalionu, jak tylko skończysz Szkołę Oficerską.

– Jego też mam wtajemniczyć?

– Skądże, on nic o tym nie wie. Niestety, jest ciągle zaślepiiony i wierny Stalinowi. Gdyby nie to, jemu zleciłbym zabicie Stalina.

Po chwili milczenia dodał: – Z niego to wielki idiota!

– Może lubi władzę?

– Być może, ja sam już nie poznaję wielu starych komunistów. Zmienili się z chwilą objęcia wysokich stanowisk. Nie mówiąc już o nowych kadrach Stalina, gdzie uczciwych ludzi szukać trzeba ze świecą.

– Pewnie boją się o swoje życie. Co innego ginąć na froncie z karabinem w ręku, a co innego być torturowanym w kazamatach NKWD.

Ojciec nic nie odpowiedział. Twarz miał zasmuconą. Oczy wpatrzone w dal, tak jakby chciał lepiej dojrzeć przeszłość i pomordowanych przyjaciół.

Obiecałem ojcu, że sumiennie wykonam jego polecenie. Uśmiechnął się do mnie i rzekł: – Pamiętaj, zrobisz to nie tylko dla mnie i dla zemsty za tych co już zginęli z polecenia Stalina, zrobisz to dla ocalenia milionów Rosjan, którzy niewątpliwie zginą w przyszłości z jego rozkazu. Musimy się pozbyć jak najszybciej tego krwiożerczego Azjaty!

Mówił twardym głosem, wbijając we mnie swój ostry, gorejący wzrok, wreszcie osłabł i opadł na poduszki.

– Ojczy, twoje polecenie jest dla mnie rozkazem, dobrze o tym wiesz.

– Wiem, dlatego cię wezwałem.

Uściskałem ojca i wyszedłem oszołomiony. Zapamiętałem jego wychudłą, smutną twarz i gorejące oczy. Z trudnością musiało mu przyjść wydanie mi polecenia, aby zabić Józefa Stalina, bądź co bądź przywódcę komunistycznej Rosji. I to własnemu synowi, którego dawniej przekonywał, jak to będzie dobrze ludziom w Rosji, gdy pozbędziemy się wyzyskiwaczy ludu – cara, arystokracji, obszarników, popów, kapitalistów i kułaków.

Zdawałem sobie sprawę, że dokonanie zamachu na Stalina będzie równoznaczne z wyrokiem śmierci na mnie. Żal mi było umierać w tak młodym wieku, ale ogrom zbrodni Stalina wstrząsnął mną do głębi. Byłem gotów umrzeć dla dobra sprawy, dla dobra Rosji.

W kilka dni po tej rozmowie mój ojciec zmarł. Urządzono mu wspaniały pogrzeb. Obecni byli wszyscy przywódcy partii, ze Stalinem włącznie, i wyżsi dowódcy Armii Czerwonej. Pośmiertnie odznaczono go Orderem Gwiazdy Czerwonej i przyznano tytuł marszałka.

Po kilku tygodniach skończyłem szkołę oficerską i wezwano mnie na Kreml, gdzie przyjął mnie osobiście szef ochrony Stalina generał Zariadkin, przyjaciel mego ojca. Krępy, niski, z czarnymi kędzierzawymi włosami. Zauważyłem, że wzrok ma badawczy, wzrok rasowego policjanta. Złożył mi wyrazy współczucia z powodu śmierci ojca.

Zawiadomił mnie, że zostałem wybrany do służby w batalionie ochrony Józefa Stalina. Podziękowałem mu wylewnie za ten zaszczyt.

– Mam nadzieję, że podobnie jak twój ojciec, będziesz przyjacielem Stalina.

– Kocham Stalina bardziej od mego ojca – rzekłem żarliwie.

Ta moja odpowiedź bardzo mu się spodobała.

– Bez Stalina nie byłoby potężnej Rosji. Niektórzy towarzysze nie dostrzegają, że bez twardej ręki nie uda się zbudować i utrzymać komunizmu w Rosji. Pamiętaj o tym – rzekł stanowczo.

Przy pożegnaniu życzył mi powodzenia. Skierowano mnie na specjalny kurs. Przeszkolenie było długie i męczące. Zdałem pomyślnie wszystkie testy, łącznie z rozmowami z psychologiem i psychiatrą. Na początku dawano mi mniej ważne funkcje. Przykładowo musiałem pilnować, czyli śledzić kierowców Stalina. Kierowców tych było kilku. Żaden z nich nie wiedział wcześniej, kiedy go wyznaczą na trasę ze Stalinem. Pilnowałem także mniej ważnych obiektów pomocniczych, jak na przykład domów wczasowych przywódców partii i ich rodzin. A domów tych było bardzo dużo i nigdy nie było wiadomo, kiedy i kto z przywódców zjedzie na odpoczynek. Sądzę, że po prostu obserwowano i sprawdzano mnie. Sprawdzano także moje życie prywatne, często widziałem śledzących mnie agentów NKWD. Z czasem przesunięto mnie do służby wartowniczej na Kremlu. I to nie od razu do służby wewnątrz pomieszczeń używanych przez Stalina i innych przywódców. Zaczynałem od warty przy bramie wjazdowej do Kremla. Ale nadszedł dzień, gdy zaufano mi całkowicie.

I oto stoję teraz z bronią w ręku tuż przy drzwiach wejściowych do apartamentów Stalina w budynku Kremla, położonych na trzecim piętrze. Ale nie mogę wejść do tych apartamentów, ot tak sobie, niezauważony. Od apartamentów Stalina odgradzają mnie szczelne pancerne drzwi. Drzwi są zamykane od wewnątrz przez zaufanego oficera. Ma prawo otworzyć te drzwi jedynie na sygnał z zewnątrz, od wartownika przy drzwiach, czyli w dniu dzisiejszym na sygnał ode mnie. W tym celu muszę nacisnąć guzik przy drzwiach, zapali się wówczas światelko przy jego posterunku. On podchodzi wówczas do drzwi i spogląda przez małe okienko, zwane judaszem, ja zaś mam kiwnąć mu głową na TAK. Oznacza to, że może otworzyć drzwi. Ale ja także jestem pilnowany!

Pilnuje mnie oficer, który siedzi przy stoliku na półpiętrze schodów, poniżej mego stanowiska. On widzi mnie, ja widzę jego. Otrzymałem tajną pisemną instrukcję, że gdybym zauważył coś podejrzanego z jego strony, to mam go po prostu zastrzelić! Gdyby, na przykład, próbował podejść do mnie lub też próbował mnie zlikwidować. On z kolei ma instrukcję, że powinien mnie zastrzelić, gdybym ja zrobił krok w jego stronę lub próbował nielegalnie otworzyć zamknięte drzwi, przed którymi stoję.

Z kolei jego obserwuje oficer, który siedzi przy stoliku na podeście pół piętra poniżej, czyli na drugim piętrze, oczywiście na pierwszym piętrze jest kolejny oficer, a na parterze w wartowni jest ich kilkudziesięciu, w tym dowódca warty. Każdy pilnuje każdego! W dodatku ja nie mogę zejść samowolnie z mego stanowiska, bo gdybym to uczynił, oficer na półpiętrze ma rozkaz zabicia mnie bez litości. Opuścić mój posterunek mogę jedynie z dowódcą warty, który co cztery godziny rozprawdza wartę i przyprowadza mojego zmiennika. Wydawałoby się, że w tej sytuacji dokonanie zamachu na Stalina jest niewykonalne. Ale na szczęście nic na tym świecie nie jest doskonałe, także system ochrony Stalina.

Zauważyłem, że oficer siedzący na półpiętrze wieczorami bezczelnie zasypia! Siedzi sprytnie obrócony twarzą w moim kierunku, dzięki czemu ja widzę to jego zasypianie, nie widzi zaś oficer przy stoliku na niższym, drugim piętrze.

Znam rozkład pokoi w apartamentach. Od ojca wiem, ile ich jest i w którym Stalin pracuje, a w którym śpi. Jestem już bardzo blisko wykonania wyroku na Stalinie. Pomyśleć, że za drzwiami jest ON, a przed drzwiami jestem JA, uzbrojony w broń z ostrą amunicją!

Postanowiłem zabić Stalina dzisiaj w nocy, gdy będzie spał. Z prostej przyczyny: nie chcę, aby mnie złapano po dokonaniu zamachu. Nie chcę umierać w strasznych męczarniach w lochach NKWD. Zabiję Stalina dzisiaj w nocy, wykorzystując sen oficera na półpiętrze. Nacisnę guzik, oficer z wewnątrz otworzy mi drzwi, spodziewając się nocnej wizyty jednej z kochanek Stalina lub też spóźnionej wizyty członka Biura Politycznego, ogłuszę go ciosem w tętnicę.... Udam się następnie do sypialni Stalina, oddam do śpiącego strzały z pistoletu. Wrócę spokojnie

na swoje stanowisko, zamykając drzwi za sobą. Po chwili przyjdzie dowódca warty z moim zmiennikiem, ja skończę służbę i pojadę swym autem do miejsca, gdzie ma mnie oczekiwać moja narzeczona Marusia. Oczywiście ona nie wie, jak się naprawdę obecnie nazywam, nie wie, gdzie pełnię służbę, i nic nie wie o planowanym zamachu. W takiej sprawie nie wolno ufać nikomu. Poznałem ją zaledwie kilka dni temu i NKWD jeszcze nie wie o jej istnieniu.

Dopiero nad ranem odkryją zabitego Stalina, ale ja już będę daleko i będę posługiwał się fałszywymi dokumentami. Taki jest mój plan. Jego pomyślność zależy od mojej zimnej krwi, czasu snu oficera na półpiętrze... i łutu szczęścia. Plan jest ryzykowny, ale w miarę realny. Tym to sposobem spełnię wolę mego ojca i równocześnie ocalę swoje młode życie. Nieśpieszno umierać, gdy się ma zaledwie 30 lat.

Czekam cierpliwie, jestem w miarę spokojny, nie denerwuję się zbyt. Wieczorem, do późna w nocy, Stalin zwykle pije z członkami politbiura gruziński koniak i wówczas tańczą razem, mocno pijani. Czasami Stalin udaje się do salki kinowej i ogląda amerykańskie filmy, na ogół kowbojskie. Czasami przyprowadzają mu kobiety, bardzo ładne i młode. Dzisiaj prawdopodobnie ma „wolne”, bez kobiety, bez filmów. Wygląda na to, że Stalin miał ciężki dzień pracy.

Poczekam jeszcze z godzinę, dokonam zamachu dokładnie piętnaście minut przed zmianą warty. Kwadrans powinien mi wystarczyć.

Po raz kolejny spoglądam na zegarek i postanawiam, że czas na egzekucję Stalina.

Oficer przy stoliku na półpiętrze, jak każdego wieczoru, już zasnął. Naciskam guzik sygnału. W judaszu ukazuje się twarz oficera, który odebrał ode mnie sygnał. Bóg raczy wiedzieć, czy był zdziwiony. Prawdopodobnie sądził, że Stalin zażył sobie kobietę na noc albo też, że któryś z członków Biura Politycznego ma pilną sprawę wagi państwowej. Kiwam mu głową na TAK, a gdy tylko otworzył mi drzwi, zrobiłem energiczny krok do wnętrza. Następnie, zaskoczony, uderzyłem silnie w żołądek i poprawiłem błyskawicznie ciosem w tętnicę. Podtrzymałem go, gdy padał, aby uniknąć hałasu. Położyłem ogłuszonego na podłodze, zakleiłem mu usta taśmą. Pod nos podetknąłem ampulkę, opary płynu uspią go na kilka godzin. Zamykam drzwi za sobą. Teraz

idę szybko do pokoju Stalina, otwieram i zamykam za sobą drzwi. Jest ciemno i cicho, słychać jedynie chrapanie. Zapalam światło w pokoju, muszę mieć przecież pewność, że strzelam do Stalina. Tak, to on. Mruży oczy, obudzony gwałtownie światłem żarówki. Nie bardzo wie, co się dzieje. Ma zamiar podnieść się z poduszki. Nie tracę czasu... Wyciągam błyskawicznie pistolet, przykładam mu do głowy. Strzelam kilkakrotnie. Grube ściany i dźwiękoszczelne drzwi tłumią huk wystrzału. Widzę, jak zalany krwią osuwa się na poduszki. Wychodzę z pokoju, zamykając drzwi. Na wszelki wypadek knebluję usta i wiążę ogłuszonego przeze mnie oficera dyżurnego. Otwieram drzwi i zamykam je za sobą na klucz odebrany dyżurnemu. Staję znowu, jak gdyby nigdy nic, na swoim posterunku.

Na moje szczęście oficer na półpiętrze nadal śpi, nie zauważył mojej krótkiej nieobecności.

Zamach się udał! Po pięciu minutach następuje zmiana warty. Dowódca warty pyta mnie rutynowo:

- Wszystko w porządku?
- Tak jest, towarzyszu pułkowniku, wszystko w porządku.

Mój zmiennik obejmuje służbę. Schodzę z dowódcą warty schodami w dół, na parter. Najchętniej bym natychmiast uciekał jak najdalej od Kremla. Trzymam jednak nerwy na wodzy. Zdaję służbę, podpisuję „protokół służby”. Wszyscy na wartowni znudzeni, niektórzy drzemią. Czekają niecierpliwie końca swej służby.

Ach, gdyby wiedzieli co się stało! Chce mi się krzyżeć na całą Moskwę i na całą Rosję: „Zabiłem Stalina, tyrana Rosji, niech żyje komunistyczna Rosja, ale już swobodna od mordercy, znieawidzonego dyktatora!”

Ale wiem, że to byłoby samobójstwo. Wychodzę spokojnym, opanowanym krokiem, chociaż serce bije mi mocniej niż zwykle. Po wyjściu z wartowni uśmiecham się do siebie.

Idę na parking, wsiadam do mego służbowego auta, do pobiedy. Jadę pustymi ulicami Moskwy, aby jak najdalej od Kremla. Po czterech godzinach szybkiej jazdy docieram do miejsca, gdzie zaplanowałem zatopić służbowe auto w głębokim jeziorze. Jest to bardzo wysoki brzeg, niemal przepaść. Wsiadam z auta i kieruję je do wody. Powoli toczy się

do krawędzi przepaści, a potem wali się w dół, w głębinę jeziora. Tu nikt go nie znajdzie, jest za głęboko. Zmieniam wojskowe ubranie na cywilne.

Idę następnie wzdłuż lasu na spotkanie z moją narzeczoną. Ma na mnie czekać z motocyklem na poboczu drogi, w miejscu, które jej wskazałem dzień wcześniej.

Idę... a właściwie to jakbym leciał na skrzydłach. Nie wytrzymałem nerwowo i zaczynam biec. Zamach się udał, tak jak zaplanowałem. Stalin nie żyje, a ja żyję!

Jest moja dziewczyna, ukochana Marusia czeka na mnie wraz z motocyklem, wypożyczonym kilka dni temu od jej ojca. Nie zna mojej przeszłości, nie zna mojego prawdziwego nazwiska, mam fałszywe dokumenty na inne nazwisko.

– Dziwna jest ta twoja nocna wycieczka. Czy rabowałeś po nocy bank? – powitała mnie naburmuszona Marusia.

– Miałaś o nic nie pytać!

– Ja nie pytam. Ot, tak sobie wspomniałam tylko.

– Zapomnij o tej nocnej wyprawie, bo to sprawa mojego życia i śmierci!

Patrzy zdumiona, ale nic nie mówi. Pojechaliliśmy do jej domu i położyliśmy się spać. Byłem śmiertelnie zmęczony.

Na drugi dzień przyniosła mi do łóżka śniadanie i gazetę. W gazecie nic nie pisano o śmierci Stalina. Nie pisali także i na drugi dzień!

– Co jest, co się stało, czyżby chcieli ukryć śmierć Stalina przez kilka dni do czasu wyboru nowego przywódcy?

Ciekawe, kogo wybiorą... Beria, Mołotow, Mikojan, Kaganowicz, Malenkow, Chruszczow, Bułganin? A może stary Woroszyłow? – zastanawiałem się.

Ale ku mojemu zdumieniu po kilku dniach w gazecie ujrzałem fotografię Stalina przyjmującego zagraniczną delegację!

– Jak to możliwe? Podstawili sobowtóra? Być może ciągle trwają walki o władzę między członkami Biura Politycznego i dlatego podają nadal, że Stalin żyje?

Byłem się z myślami przez kilka dalszych dni. Musiałem jednak z czasem przyjąć do wiadomości smutną dla mnie prawdę, że zabiłem Stalina, a Stalin... nadal żyje!

Nie było co do tego wątpliwości, bo Stalin pokazywał się na wiecach i na spotkaniach dyplomatycznych. Po prostu żył! Żyłem i ja, ale w wiecznym strachu, że NKWD wykryje moją ucieczkę i mój nieudany zamach. Kogo w takim razie zabiłem?

Od autora:

Powyższa historia jest jak najbardziej autentyczna. Od Rosjanina – nazwiska nie mogę ujawnić – otrzymałem list do Marusi, pozostawiony jej przez męża-zamachowca, tuż przed jego śmiercią (zmarł na raka żołądka). List opisujący dokładnie próbę zamachu. Dzisiaj Marusia, jeśli jeszcze żyje, jest starą kobietą. Co do nieudanego zamachu, to w pokoju Stalina spał jego sobowtór. Stalin miał ukryte przejście ze swej oficjalnej sypialni do drugiej, tajnej sypialni. Nie wiedzieli o tym nawet wartownicy z osobistej ochrony Stalina. Protokoły dochodzeń w sprawie tej próby zamachu nie zostały zniszczone i znajdują się w Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (są dostępne dla uprawnionych, kilku zaledwie historyków Rosji). Wynika z nich, że po nieudanej próbie zamachu na Stalina, usprawniono znacznie system ochrony. Ze zrozumiałych względów zmieniłem nazwisko zamachowca.

Bolesław Bierut

Chłopi z Dolnych Obornik zbierali się w zimowe wieczory na pogaduszki u Wojtasa. Jego dom był bowiem dogodnie położony, w środku wsi. Poza tym Wojtas z żoną byli bardzo gościnni. Był najmniejszym wzrostem, a jednocześnie najstarszym rolnikiem we wsi. Pamiętał czasy wojny japońsko-rosyjskiej. Służył bowiem w armii carskiej. Opowiadał, że służba w tej armii trwała... 25 lat! Bogaci chłopi mogli oficjalnie wykupić syna od służby w armii. Wojtas niestety, pochodził z biednej rodziny, poszedł więc do armii, i to na wojnę z Japończykami.

Opowiadał, że aby uniknąć 25-letniej służby, poborowi się samo-okaleczali. Obcinali sobie na ogół dwa palce u prawej ręki.

Jako chłopiec chodziłem z Edkiem Wojtasem do tej samej klasy szkoły podstawowej. W dniu rozpoczęcia roku szkolnego pobiliśmy się, aby później zostać przyjaciółmi na wiele lat. Ale nie o Edku Wojtasie jest to opowieść. Będzie to opowieść o prezydencie Bierucie.

Mianowicie czasami udawało nam się wraz z Edkiem przysłuchiwać rozmowom chłopów schodzących się do Wojtasa na pogaduszki w zimowe wieczory. Na ogół rozmawiano o problemach gospodarskich. Jak i co sadzić czy siać, ale stopniowo przechodzono do polityki. Bardzo lubiłem przysłuchiwać się temu chłopskiemu „plotkowaniu”. Dowiadywałem się o rzeczach, których nie było w książkach, tak licznie wówczas przeze mnie wypożyczanych z biblioteki Domu Włókniarza. Świat z książek różnił się całkowicie od świata z opowiadań chłopów.

Zauważyłem, że nikt z chłopów nie krytykował komunistycznej władzy. Dzisiaj, po latach wiem, że po prostu bano się donosów do Urzędu Bezpieczeństwa. Nikt nikomu nie ufa!

Maż nie ufał żonie, żona mężowi, rodzice nie ufali dzieciom, a dorosłe dzieci nie ufały rodzicom. Tak więc właściwie nie zdarzyło mi się usłyszeć złego słowa na komunistyczną władzę.

Nie krytykowano, ale też nikt nigdy nie chwalił tych władz. Poza jednym, jedynym wyjątkiem. Mianowicie stary Listwan pewnego razu wyrażał się pochlebnie o prezydencie Bolesławie Bierucie.

Stary Listwan z żoną mieli gospodarkę przy ulicy Nadbrzeżnej, powyżej młyna, a nieco poniżej sklepu Korzeniowskiego. Syn Listwana był znanym we wsi rozrabiaką. Kiedy wypił, to na całego odbijała mu szajba.

I zdarzyło się, że po pijanemu, na zabawie w sąsiedniej wiosce pobił milicjanta Zajączkowskiego. A pobicie funkcjonariusza milicji oznaczało podniesienie ręki na władzę ludową. To było bardzo poważne przestępstwo. I syn Listwana zainkasował dziesięć lat więzienia. Ojciec i matka byli zrozpaczeni. Syn, co prawda chuligan i pijak, ale przecież po trzeźwemu był robotny i to on utrzymywał gospodarstwo przy życiu. Rodzice byli już słabi i w podeszłym wieku.

Na szczęście, w biedzie na ogół znajduje się przyjaciół.

– Załatw sprawę tak, jak załatwiało się z wysokimi urzędnikami w carskiej Rosji. Daj łapówkę – powiada mu stary Wojtas.

– Bierut to przecież jak sam car, jak tu wręczać łapówkę?

– Ot, ty głupi, Bierut to nie car, chociaż ma władzę jak car. Ma stałą pensję i w stosunku do potrzeb pensja mu nie wystarcza. Trzeba posmarować!

– Jak to posmarować?

– Trzeba dać łapówkę.

– Ale jak?

– Sprzedaj świnie, jedź do prezydenta Bieruta z pieniędzmi i daj mu pieniądze w łapę.

– Tak po prostu? A czy mnie tam dopuszczą?

– Napisz najpierw list do Bieruta. Ale nie pisz, że przyjedziesz z łapówką, pisz jedynie, że zabiłeś świnie i że gospodarstwo upada bez

syna. Bierut nie głupi i zrozumie, o co chodzi. Jego kancelaria wyznaczy ci wizytę u Bieruta. Wielu już tak załatwiło z nim swoje trudne sprawy.

– Kiedy ja nie umiem pisać. U mnie w rodzinie było dziesięć-rodzeństwa. Nie chodziłem do szkoły.

– Ja też nie umiem pisać, ale są tacy, co potrafią. Przyjdź jutro wieczorem do mnie, będzie u mnie ktoś, kto umie pisać.

Listwan posłuchał rady Wojtasa. List do Bieruta został napisany i natychmiast wysłany. Listwan w tym liście wywodził, jakie to straty ponosi Polska Ludowa z powodu uwięzienia jego syna. Zaznaczył w liście, że rozpoczął już wyprzedaż inwentarza żywego i właśnie sprzedał dwustukilogramową świnie.

Nie czekał długo. Po dwóch tygodniach przyszło pismo z kancelarii Bieruta, aby się zgłosił o tej i o tej godzinie, w tym i w tym dniu. Listwan nigdy nie był w Warszawie. Bał się, że zgubi się w tak dużym mieście. Pojechał więc razem z córką Krasińskich, co to była w Warszawie jeszcze przed wojną.

A jakże, przyjął go sam Bierut. Listwan zaczął wyjaśniać sprawę ze łzami w oczach i na koniec żalów położył Bierutowi na biurko kopertę z pieniędzmi.

Bierut przeliczył pieniądze, schował kopertę do kieszeni marynarki i rzekł do Listwana:

– Władza ludowa zawsze popiera i będzie popierać rolnictwo i chłopów. Jedźcie spokojnie do domu, wasz syn na dniach będzie zwolniony.

I Bierut dotrzymał słowa. Po kilku dniach syn zjawił się w domu. Oficjalnie sprawę umorzono z powodu... niskiej szkodliwości czynu.

I to wszystko.

– Wyobraźcie sobie, że nawet nie krzyczał na mnie, że źle wychowałem syna! Kulturalny, grzeczny pan, złego słowa nie dam na niego powiedzieć – kończył Listwan swoją opowieść.

Chłopi słuchali, kiwając głowami. Niektórzy jedynie z ironicznym uśmiechem mrugali porozumiewawczo do siebie. Panowała przez kilka minut cisza po tym opowiadaniu o „dobrym” Bolesławie Bierucie.

Słychać było jedynie brzęczenie zabłąkanej muchy. Gęsty dym z papierosów snuł się ponad głowami chłopów. Nie dowiedziałem się,

co sądzą o Bierucie chłopi zebrani u Wojtasa. Żaden z nich nie skomentował tej opowieści. A ja, dopiero po wielu latach, jako dorosły człowiek, dowiedziałem się o zbrodniach Bolesława Bieruta. I o zbrodniach podległego jemu i Jakubowi Bermanowi Urzędu Bezpieczeństwa.

Józef Cyrankiewicz

Był rok 1956. Studiowałem wówczas na politechnice, Cyrankiewicz był premierem komunistycznego rządu w Polsce. Jego kariera polityczna była zadziwiająca. Nie był przecież przed wojną komunistą! Był socjalistą, członkiem władz Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS). W czasie wojny przebywał w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Jakim więc sposobem został po wojnie premierem, skoro władzę objęli komuniści, a nie socjaliści?

Tego nikt nie wie. Być może przed wojną był jednocześnie działaczem PPS-u i agentem Stalina? Sądzę jednak, że to była propagandowa nominacja, mająca na celu „uśpienie” członków PPS przed zbliżającą się zagładą PPS poprzez włączenie jej do partii komunistycznej PPR.

Cyrankiewicz lubił kobiety, wino i śpiew. Wykształcony i inteligentny, prawnik. Jego łysina była przedmiotem wielu anegdot. Jego portrety wisiały w klasach szkolnych za czasów Bieruta i... za czasów Gomułki, którego przecież to Cyrankiewicz jako premier, do spółki z prezydentem Bierutem, wtrącił do więzienia. Ale Cyrankiewicz był w czasach Bieruta jedynie figurantem, był „malowanym” premierem. Rzeczywistą władzę sprawowali Bierut, Berman, Rokossowski i Minc, zaufani ludzie Stalina. Dlatego Gomułka po powrocie do władzy pozostawił Cyrankiewicza na stanowisku premiera. Tym to sposobem Cyrankiewicz został najdłużej urzędującym premierem w komunistycznej Polsce.

Podobno kolekcjonował anegdoty... o sobie. A anegdot o nim było wówczas sporo. Większość z nich dotyczyła jego słabości do alkoholu i do pięknych kobiet. A także jego łysiny.

Pewnego razu jako student przechodziłem wraz z kolegą blisko Urzędu Wojewódzkiego. Naprzeciw była czynna w owym czasie bardzo popularna restauracja „Złota Kaczka”.

Nagle ujrzałem, jak przez ulicę od strony Urzędu Wojewódzkiego przeszedł szybkim krokiem, niemal biegiem, w stronę „Złotej Kaczki” sam Józef Cyrankiewicz! Za nim w pewnej odległości biegli ubrani po cywilnemu oficerowie z jego obstawy.

– Co premier robi w naszym mieście? – spytałem kolegi.

– Pewnie mają tu jakąś ważną naradę i zaprosili go. Wchodzimy także do „Złotej Kaczki”, taka okazja nam się już nie trafi – podjął błyskawiczną decyzję mój kolega.

Weszliśmy więc za premierem i za jego obstawą do środka restauracji. Stojąc w drzwiach, zauważyliśmy z daleka łysinę Cyrankiewicza, stojącego przy ladzie bufetu. Premier był wysokim, postawnym mężczyzną i trudno go było nie zauważyć w tłumie pijaków cisnących się do bufetu. Akurat wychylał kieliszek wódki.

Obstawa rozpychała brutalnie pijaków, chcąc się do niego dostać. Ci jednak nie ustępowali.

– Chcecie się napić, to stójcie w kolejce tak jak my! – odpowiadali wzburzeni pijacy.

Cyrankiewicz nie przejmował się jednak problemami swojej obstawy. Zamówił kolejną wódkę. Barman błyskawicznie podał mu drugi, pełny kieliszek.

Cyrankiewicz wypił. Otrząsnął się nieco i rzekł do barmana:

– Chłopie, żebyś ty wiedział, jakiego ja mam kaca!

– Pan premier nie pierwszy i nie ostatni ma kaca – odrzekł ze zrozumieniem barman.

Pijacy siedzący przy stolikach zorientowali się już, że Cyrankiewicz jest w restauracji. Jeden z nich wstał, podniósł kieliszek i wznosił toast na całą salę:

– Józiu, napij się z nami, z klasą robotniczą.

– Nalewaj, widzisz, jak mnie ludzie lubią! – rzekł Cyrankiewicz do barmana.

Barman ochoczo nalał kolejny kieliszek. Cyrankiewicz podniósł go w górę i rzekł głośno: – Zdrowie ludu pracującego!

Następnie wlał w siebie ten trzeci już kieliszek wódki. Zaczęto mu bić brawa. Cieszył się bowiem Cyrankiewicz popularnością wśród ludzi. Uważano go za „lepszego, wykształconego komunistę”, stojącego intelektualnie wyżej od takich dygnitarzy jak Bierut, Berman, Gomułka, Mijał, Moczar i inni.

Byłby się Cyrankiewicz całkowicie spił w „Złotej Kaczce”, gdyby obstawie nie nadeszły posiłki.

Podjechały pod „Złotą Kaczkę” trzy samochody osobowe wypełnione oficerami. Ci wtargnęli do środka, brutalnie odepchnęli pijaków od Cyrankiewicza, ujęli go pod pachy i wytoczyli, już niemal całkiem pijanego, na zewnątrz.

Premier się nie opierał.

Wsadzili go do auta i odjechali. Przedtem jednak otyły major, szef obstawy, zrugął solidnie cywilną obstawę.

– Za co wam płacą? Zwolnię was w diabły!

Skoro już znaleźliśmy się w restauracji, to wraz z kolegą zamówiliśmy dwie setki wódki, bez zakąski. Wypiliśmy je duszkiem i wyszliśmy z restauracji.

– Ale heca z tym Cyrankiewiczem – rzekłem, gdy znaleźliśmy się na ulicy.

– Taki premier, jaka władza – odparł szeptem kolega.

Na temat Cyrankiewicza nie chciał jednak rozmawiać, szczere rozmowy na temat komunistycznej władzy były zbyt niebezpieczne.

W czerwcu 1956 r. robotnicy Poznania zastrajkowali oraz rozpoczęli demonstracje uliczne, w czasie których spalili komitet wojewódzki partii. Cyrankiewicz w radiowym przemówieniu ostrzegł, że będzie odrąbywał ręce wrogom władzy ludowej. Słowa dotrzymał. Wojsko i milicja strzelały do robotników, zabijając około sześćdziesięciu osób.

Pepesza

W miasteczku Dąbrowa niemal wszyscy dorośli obywatele znali sekretarza Buraka. Miał rude włosy (z tego powodu nazywano go w partyzantce „Ryży”), krępy, silny jak tur. Na ogół nie można go było zastać w urzędzie. Nie siedział bowiem za biurkiem, papierkową robotę zostawiał urzędnikom Komitetu Powiatowego. Jako były partyzant Gwardii Ludowej najchętniej przeniósłby swoje biuro do lasu!

W mieście lubił jedynie pochody pierwszomajowe. Stał wówczas dumnie na trybunie, wystrojony w medale, i uśmiechał się całą gębą.

Najczęściej był w terenie „na kontrolach”. Polegały one na tym, że wyjeżdżał z kierowcą do którejś wsi. Wieś witała sekretarza serdecznie, chlebem i solą... czyli wódką i zagrychą z wiejskiej kiełbasy. Burak czuł się dobrze na wsi. Miał bowiem pochodzenie chłopskie. Mówiono, że był przed wojną parobkiem w folwarku. Zawsze marzył o posiadaniu ziemi. Niestety, zamiast osadzić go na wsi, partia komunistyczna wyznaczyła mu pracę w mieście. Czuł się tam obco, nie znał się na problemach przemysłu, szkolnictwa, służby zdrowia, budowie i remoncie dróg, wodociągach i kanalizacji czy też na problemach kultury.

Te jego „kontrole” były więc ucieczką na teren mu znajomy i bezpieczny.

Do ludzi odnosił się czasami szorstko, ale sprawiedliwie. Czasy były trudne, powojenne. W wielu ludziach tliła się jednak nadzieja, że

są to trudności przejściowe. Ewentualni malkontenci siedzieli cicho, obawiając się represji.

I nagle pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, Urząd Bezpieczeństwa aresztował... sekretarza Buraka! A wszystko przez jego zamiłowanie do polowań.

Sekretarz był członkiem Koła Łowieckiego. Namiętnie lubił polowania. Lubił – to mało powiedziane, on je kochał, uwielbiał. Pracował od poniedziałku do piątku, bo musiał, ale w soboty i niedziele był na polowaniu. Oczywiście, polowanie było połączone z wódką i zagrychą. Nie wiadomo, gdzie Burak kupił strzelbę. Podobno skonfiskował ją właścicielowi folwarku, w którym służył przed wojną. Strzelał dobrze, zawsze coś ustrzelił. Tego feralnego, sobotniego dnia rano, przed wyjazdem na polowanie strzelba się zacięła. Pech. Co robić?

I tu Burak popełnił tragiczny w skutkach błąd. Zabrał bowiem na polowanie swoją... pepeszę, czyli lekki, popularny ręczny karabin maszynowy, używany przez Armię Czerwoną w czasie drugiej wojny światowej. Nabył ją nielegalnie po wojnie od żołnierza za trzy litry wódki. Pepesza nie była oczywiście zarejestrowana w Urzędzie Bezpieczeństwa.

– Ostatecznie na polowaniu będą ludzie, którym mogę zaufać, sami swoi – pomyślał beztróska Burak.

I pojechał na polowanie z pepeszą ulokowaną na tylnym siedzeniu auta. Uczestnicy polowania, koledzy Buraka, popatrzyli nieco zdziwieni na pepeszę, ale nie zrobili żadnych komentarzy. Było ich szczęście. Baran – komendant powiatowy milicji, Łyżwa – dyrektor fabryki bawełnianej, Florczak – szef Urzędu Bezpieczeństwa, Hebda – dyrektor Zakładów Mięsnych, Jarząbek – dyrektor liceum oraz Malinowski – redaktor naczelny miejscowego oddziału „Gazety Robotniczej” (dyrektor szpitala, doktor Janiak, nie mógł przyjechać z powodu nagłej poważnej operacji chirurgicznej). Ostatecznie Burak to ich szef, zasłużony partyzant. Znali się jeszcze z czasów przedwojennych, z Komunistycznej Partii Polski.

Burak strzelał więc z pepeszy do saren i dzików, niczym do Niemców i AK-owców. Był lekko podпиты, ale nie stracił celności. Udało mu się trafić potężnego dzika. Koledzy nie mogli się nadziwić.

– Toż to smok, a nie dzik.

– Ależ masz oko!

– Cholera, ale go podziurawiłeś!

– Dostał całą serię!

Polowanie jak zwykle, kończyło się bigosem z kotła. I zdrową popiją. Zabitemu dzikowi i sekretarzowi Burakowi z pepeszą, zawieszoną na szyi, zrobiono „wspólną fotografię”.

Towarzystwo wróciło do domów pijane i szczęśliwe. Na drugi dzień sekretarka Buraka zaniósła do miejskiego fotografa film do wywołania w trybie pilnym. Po godzinie na biurku sekretarza leżał plik fotografii z polowania. Oczywiście natychmiast po ich otrzymaniu sekretarz wyruszył w teren „na kontrolę”, po uprzednim podpisaniu niezbędnych zarządzeń i pism.

Ostatecznie nie codziennie trafia się tak potężny dzik. Koniecznie musiał pochwalić się przed kolegami w terenie. Wrócił z terenu do domu późnym wieczorem na chwiejnych nogach. A już nad ranem przyjechali po niego funkcjonariusze z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu. Czterech po cywilnemu i jeden w mundurze wojskowym. Burak jeszcze nie był całkowicie trzeźwy.

– W Urzędzie Bezpieczeństwa pomyłkę się wyjaśni – rzekł flegmatycznie i nie protestował, gdy zakładano mu kajdanki. Natychmiast zasnął na tylnym siedzeniu auta w drodze do wojewódzkiego miasta Wrocławia.

I nikt go już więcej nie widział. Nazajutrz przysłano z Wrocławia nowego sekretarza Komitetu Powiatowego, a egzekutywa powiatowa partii zatwierdziła go bez sprzeciwu, nie zadając zbędnych pytań co do powodu usunięcia Buraka.

Nikt nie miał odwagi spytać, co się stało z sekretarzem Burakiem.

Był rok 1950. Burak wrócił do domu dopiero w 1956 roku. Przesiedział sześć lat za „nielegalne posiadanie broni palnej”. Do pracy już nie wrócił. Nie był w stanie pracować. To był cień dawnego, silnego jak tur Buraka. Mocno zgarbiony, poruszał się powolutku, podpierając się laską.

Donos

Był rok 1951, kapral Tomaszewski, młody, przystojny blondyn, nudził się śmiertelnie na dyżurze posterunku MO w Dąbrowie. Z nudów przeczytał lokalną gazetę „Gazetę Robotniczą”. Przeczytał „od deski do deski”. Nie miał nic więcej do roboty. Wyszedł więc na zewnątrz budynku komisariatu, usiadł na ławeczce i przyglądał się przechodniom. Od czasu do czasu przechodziła dziewczyna i wówczas można było na przykład pomarzyć... że jest rozebrana. Tak zabawiał się z nudów młody milicjant kapral Tomaszewski.

Nudę przerwało pojawienie się starego Warzechy. Był to chłop wysoki, żylasty, bez grama tłuszczu pod skórą, same mięśnie. Cholernie silny i pracowity. Nazywano go we wsi „Żyła”. Poza tym niczym się nie wyróżniał wśród miejscowych chłopów, a przynajmniej nie wyróżniał się strojem. Tak jak wszyscy chłopcy we wsi, ubrany był w brudne drelichowe robocze ubranie a na nogach miał gumki. Przyjechał na starym, ponemieckim rowerze, który postawił tuż przy drzwiach komisariatu.

– Czy jest sierżant Dziarmaga? – zapytał Tomaszewskiego.

– Nie, nie ma. A co się stało?

– Chcę złożyć doniesienie.

– Doniesienie urzędowe?

– Urzędowe!

– A to musimy wejść do biura, spisać raport – rzekł Tomaszewski i z widoczną niechęcią opuścił wygodną ławeczkę. Zasiadł za biur-

kiem, wyjął wieczne pióro i spojrzął wyczekująco z wyższością na Warzechę.

– Chcę złożyć donos na sąsiada Zycha, że słucha radia Wolna Europa! – wyrzucił z siebie jednym tchem Warzecha.

Tomaszewskiemu zamarła w powietrzu ręka z piórem, a po chwili pióro wypadło mu z ręki i potoczyło się po biurku, zatrzymało się dopiero na kałamarzu. Zdumiony Tomaszewski wybałuszył oczy na Warzechę, zatkało go zupełnie. Do tej pory nie miał do czynienia z politycznym donosem. Nie bardzo wiedział, jak ma postąpić. Czy telefonować do komendy powiatowej milicji, czy do Urzędu Bezpieczeństwa w Bronowicach, czy też czekać na powrót komendanta posterunku.

– Skąd wiecie, że Zych słucha Wolnej Europy? – spytał po dłuższej chwili milczenia.

– Jak to skąd, Zych mnie zaprosił do siebie, aby słuchać tej radiostacji, wrogiej Polsce Ludowej.

Znowu zapanowało milczenie, Tomaszewski ciągle rozważał, co właściwie ma robić.

– Tak ważne zeznanie musi być napisane na maszynie, zdajecie sobie sprawę z tego, jakie konsekwencje poniesie Zych? – spytał Tomaszewski.

Warzecha milczał, co oznaczało, że jest zdeterminowany złożyć doniesienie na sąsiada „mimo konsekwencji”. Tomaszewski postanowił, że osobiście podejmie się trudu spisania doniesienia Warzechy, bez oczekiwania na szefa.

Ostatecznie Zych być może nadjedzie w czasie spisywania zeznań – pomyślał.

Spisywanie zeznania Warzechy zajęło Tomaszewskiemu dużo czasu, bo pisał na maszynie bardzo wolno, jedynie dwoma palcami. Zrobił także kilka ortograficznych błędów, których oczywiście nie zauważył. Nie ukończył szkoły podstawowej, a pisać nauczyła go matka. Do milicji dostał się dzięki poparciu wujka z Wrocławia, który był działaczem w Polskiej Partii Robotniczej.

– Zeznanie gotowe, proszę podpisać – rzekł Tomaszewski, patrząc z dumą na napisany raport.

Warzecha złożył podpis, ale dopiero po odczytaniu przez Tomaszewskiego. Biedził się nad swym podpisem, bo nie umiał pisać ani

czytać. Całe życie był parobkiem, a dzięki władzy komunistycznej otrzymał 10 hektarów ziemi i zabudowania gospodarcze. Ziemia była jego, ale zabudowania dzielił z Zychem. Dochodziło między nimi od czasu do czasu do sąsiedzkich sprzeczek. Godziło ich jednak zamiłowanie do wódki. Zgoda następowała na ogół w restauracji „Sielanka”, do której obydwoj często zaglądali, szczególnie późną jesienią i zimą, gdy ustawały prace w polu.

Musiało jednak dojść do bardzo poważnej kłótni, skoro Warzecha zdecydował się na tak poważny donos na sąsiada. Zychowi groził co najmniej rok więzienia za słuchanie wrogiej radiostacji radiowej z Monachium w Niemczech.

Warzecha z kamienną twarzą podpisał swoje zeznanie, bez słowa opuścił posterunek, wsiadł na rower i odjechał do domu.

Po godzinie na posterunku zjawił się sierżant Dziarmaga. Potężny, otyły, wesoły, wręcz dobroduszny. Uchodził za „ludzkiego” milicjanta. Lubił wypić, więc często odwiedzał „Sielankę”, gdzie mógł liczyć na darmowy poczęstunek. Bywało, że wracał do domu pijany jak bela, z trudem prowadząc swój rower. Przechodnie śmiali się wówczas z niego i powiadali, że to rower prowadzi Dziarmagę do domu. Nie czepiał się zbytnio sprawców drobnych wykroczeń. Oczywiście tych sprawców, którzy w zamian za umorzenie sprawy gotowi byli dać łapówkę. Łapówkę w gotówce albo w naturze. Dziarmaga nie był wybredny w tych sprawach. Jak miał dobry humor, to godził się nawet na łapówkę „na kredyt”.

– Nie macie pieniędzy, nic nie szkodzi, dacie 100 złotych po żniwach – mówił łaskawie do sprawcy wykroczenia.

W każdą sobotę w miejscowej świetlicy szkolnej odbywały się zabawy taneczne, połączone oczywiście ze „wzmózoną konsumpcją alkoholu”. I jak to między pijanymi, dochodziło do bijatyk między uczestnikami zabawy. Dziarmaga z obowiązku musiał być obecny na tych zabawach i miał pilnować porządku, ale gdy zaczynała się solidna bijatyka, to wsiadał na rower i spokojnie odjeżdżał do domu. I było to bardzo mądre z jego strony. Bijatyka na ogół kończyła się równie szybko, jak się zaczęła, i ludzie bawili się dalej, jakby nic się nie stało.

– Gdybym miał się stosować do przepisów prawa, to musiałbym zamknąć prawie wszystkich we wsi. Bo kto tu nie kradnie? Kto nie

bije żony? Kto nie ma kłótni i burd z sąsiadami? Mówię ci, że czasami lepiej nie widzieć pewnych rzeczy. Małżonkowie pogodzą się tej samej nocy, sąsiedzi zaś pogodzą się po kilku dniach lub tygodniach. Po co się wtrącać? – tłumaczył Tomaszewskiemu.

I trzeba przyznać, że ta taktyka przynosiła „sukcesy”. W Dąbrowie było najmniej przestępstw, przynajmniej na papierze.

Dziarmaga pojawił się na posterunku.

– Jest coś nowego? – spytał kaprała.

– Jest donos.

– Donos? – skrzywił się Dziarmaga.

– Donos polityczny – rzekł z dumą kaprał.

I podał mu zeznanie Warzechy. Dziarmaga przeczytał donos i... zrzędnął mu mina.

– Cholera, to mamy duży problem.

– Jaki problem?

– Wsadzą obydwu, Warzechę i Zycha! Dwóch dobrych gospodarzy we wsi. Mają żony i dzieci. Źle będzie. A jak wrócą z więzienia, to nie będą się nadawać już do pracy! Kto będzie uprawiał ziemię? Te gospodarstwa upadną na sto procent, to będzie finansowa ruina dwóch rodzin we wsi.

– Nie pomyślałem o tym – rzekł zmartwiony Tomaszewski.

– Młody jesteś, nie mam do ciebie synku pretensji. Ale ja, jako komendant posterunku, mam doświadczenie w takich sprawach..

– To co robić?

– Wiadomo, że niemal wszyscy słuchają tego radia... i co z tego? Polska Ludowa się od tego nie zawali. Mamy silną armię i sojusz z ZSRR. Mogą sobie szczebrać ci z Zachodu, ile zechcą.

– To co robić? – powtórzył jak echo Tomaszewski.

– Słuchaj, jeszcze nie jest za późno i nic straconego, ja pojedę do Warzechy i wytłumaczę mu, w co się pakuje. Jak się zgodzi odwołać donos, to zniszczę to zeznanie. A ty... morda w kubeł! Ani słowa o donosie, nawet rodzanej matce. Jak nie zgodzi się odwołać tego parszywego donosu... to kij mu w oko, będziemy musieli wówczas przekazać sprawę drogą urzędową do powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa.

Dziarmaga wsiadł na rower i pojechał w ślad za Warzechą. Po dziesięciu minutach wjeżdżał w zabudowania gospodarskie Zycha

i Warzechy. Zabudowania były murowane i składały się z trzech budynków – mieszkalnego przytulonego do dużej obory, ze stodoły i z oddzielnego trzypiętrowego budynku mieszkalnego zamienionego na pomieszczenia magazynowe. Wszystkie te budynki były wspólnie używane przez Zycha i Warzechę. Wspólnie, to znaczy poprzegradzane, jak się da, i pozamykane na liczne kłódki. Sąsiedzi nie wierzyli sobie. Jedynie stodoły nie udało się podzielić, bo trzeba by wybudować wysoki mur z cegły, a na taki wydatek nie stać było ani Zycha, ani Warzechy. Poza tym gdzie kupić cegłę, cement, wapno, skoro wszystkie materiały budowlane były dostępne jedynie na przydział.

Dziarmaga zastał Warzechę wyrzucającego gnój z obory. Smród nadlatujący z wiatrem od gnojowiska zatykał, zabrakło mu powietrza, zakrztusił się.

– Cholera, jak tu śmierdzi, zrobilibyście sobie gnojowisko nieco dalej od mieszkań.

– Śmierdzi? Nic nie czuję – rzekł zdziwiony Warzecha.

Dziarmaga machnął jedynie ręką w odpowiedzi.

– Warzecha, chodźmy do mieszkania. Musimy pogadać w sprawie waszego donosu – rzekł Dziarmaga.

Weszli do budynku mieszkalnego, na pierwsze piętro, po ciasnych, ciemnych i skrzypiących schodach.

– Warzecha, z tym waszym głupim donosem... to się cholera pakujecie w kryminał! – wypalił prosto z mostu Dziarmaga.

– Ja? W kryminał? – zdziwił się Warzecha.

– Tak, wy, bo razem z Zychem słuchaliście radiostacji Wolna Europa z Monachium i razem będziecie siedzieć w kryminale.

– Ale to on mnie zaprosił do siebie... Ja nie mam radia.

– A czy wy myślicie, że to dla władzy jakaś różnica? Dostaniecie rok więzienia, Zych dostanie dwa lata. Jaka to dla was pociecha?

– Niemożliwe, a ja za co?

– Toż wam cholera tłumaczę za co! Dziecko jesteście? Nie znacie Urzędu Bezpieczeństwa? Będą wam wrywać paznokcie z palców, rozbijać jądra... to się przyznacie do każdego przestępstwa. Przy okazji stracie zdrowie, bo was poobijają jak gruszkę. Będą was katować dzień i noc, trzymać w lodowatej wodzie, to co, nie przyznacie się?!

Warzecha zbladł jak ściana, mina mu zrzedła. To nie był już ten pewny siebie i zacięty Warzecha składający donos na posterunku. Na jego czole pojawiły się krople potu.

– A kto będzie karmił wasze dzieci i babę, jak was nie będzie? Miejcie rozum!

– To co robić, panie komendancie?

– Jestem ludzki milicjant. Niejednemu pomogłem wybrnąć z tarapatów. Ale znacie chłopskie przysłowie: lepiej z mądrym stracić, jak z głupim zarobić... Umiecie trzymać język za zębami?

– Oczywiście, panie komendancie. Choćby mnie piłą rznęli, nic nie powiem.

– Dobrze... Wycofam donos. Ale robię to tylko dla was. W zamian, wy dacie mi pół litra wódki, dwie kury i jedną kurę dla kaprala Tomaszewskiego. Razem trzy kury. A jak zabijecie świniaka, to myślę, że o mnie nie zapomnicie.

– Jak najbardziej panie komendancie, nie zapomnę, Bóg zapłać. Tylko akurat nie mam pod ręką w domu gotówki, więc zamiast pół litra wódki dam litr bimbru.

– A nieoszukany ten bimber?

– Zaraz przyniosę na próbę szklankę bimbru, pan komendant skosztuje na miejscu.

– No to na co czekasz, dawaj ten bimber!

Warzecha wybiegł z pokoju i powrócił ze szklanką w ręku wypełnioną bimbrem oraz z butelką bimbru pod pachą. Podał ostrożnie szklankę Dziarmadze. Ten wypił duszkiem do dna. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł mówić, zaczął kaszleć, oczy mu wyszły na wierzch, a twarz zrobiła się czerwona jak burak.

Dopiero po dłuższej chwili udało mu się wykrztusić:

– Ależ ta cholera silna!

Dziarmaga natychmiast zabrał butelkę z bimbrem z rąk Warzechy. Pieczołowicie schował ją w przepastnej kieszeni spodni (kieszenie były specjalnie powiększone przez żonę Dziarmagi właśnie na takie okazje).

Warzecha odetchnął z ulgą, chociaż nadal był błydy jak ściana.

– Dobrze, bimber mocny jak spirytus, wycofam wasze zeznanie... ale nikomu ani mru, mru! – tu Dziarmaga pogroził pięścią dla dodania powagi swym słowom.

Warzecha gotów już był całować komendanta po rękach.

– O co się pokłóciliście tym razem? – spytał Dziarmaga.

– Ten skurwysyn Zych bezczelnie paśł krowę na mojej łące.

– Rzeczywiście, to skurwysyn. Pogadam z nim, żeby tego więcej nie robił. A wy w tym czasie zabijcie te kury i zapakujcie w worek, tak żeby nikt nie widział.

– Już się robi panie komendancie – powiedział Warzecha i pobiegł do kurnika.

Po chwili Dziarmaga wraz z kurami w worku i z litrem bimbru w kieszeni poszedł nieco chwiejnym krokiem do mieszkania Zycha, mieszczącego się na parterze tego samego budynku. Nie zastał go w mieszkaniu, po krótkich poszukiwaniach znalazł na tyłach stoły, w obszernym ogrodzie, przy krzakach pomidorów.

Zych, w przeciwieństwie do Warzechy, był niski, miał rude włosy i był przysadzisty. Zawiadomił go o donosie Warzechy. Zych przestraszył się i zbladł, podobnie jak Warzecha kilkanaście minut temu.

Zaczął zaprzeczać:

– Ja nie słuchałem radia „Wolna Europa”, Warzecha bezczelnie kłamie!

– Słuchaj Zych, ty mnie możesz mówić, co ci się spodoba, ale zastanów się, co powiesz w Urzędzie Bezpieczeństwa, jak cię bez przerwy przez kilka dni i nocy będą torturować?

Pot wystąpił na czołe Zycha, wyjął z kieszeni paczkę papierosów Sport, próbował zapalić, ale ręce mu się za bardzo trzęsły i dał sobie spokój z paleniem.

– Zych, pamiętasz Janickiego, jak wrócił z Urzędu Bezpieczeństwa i z więzienia po roku?

– Pamiętam, chodził zgarbiony i podpierał się laską.

– To ja ci gwarantuję, że i ty będziesz się podpierał laską, jeśli będziesz w stanie jeszcze chodzić o własnych siłach...

– To co robić, panie komendancie? Niech mnie pan ratuje!

– Zych, dacie mi trzy kury i pół litra wódki za moje dobre serce, a ja zniszczę donos Warzechy. Radio niestety muszę zarekwirować.

Zych jęknął, żal mu było kur, żal wódki i żal dobrego radioodbiornika.

Ale co robić? W chwili słabości zaprosił sąsiada na nielegalną audycję, a ten z kolei w chwili słabości doniósł o tym na milicję. Za słabość się płaci.

Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie dobre serce komendanta, nie uniknąłby tortur w Urzędzie Bezpieczeństwa i ciężkiego więzienia.

– Pal diabli radio, własna skóra ważniejsza – pocieszał się, ale wewnątrz był rozbity psychicznie i dławilo go w gardle, gdy wyciągał spod łóżka feralne radio.

– Ładne radio – rzekł ze znanstwem komendant.

– Odbiera nawet Amerykę, jeśli rozciągnąć na dachu antenę – pochwalił radio Zych.

– Amerykę, powiadasz. Patrzcie, patrzcie, jaką Niemcy mieli technikę – cmoknął z podziwu Dziarmaga. – Lepiej jednak, jak zarekwiruję wam to radio. Jeszcze po pijaku kogoś zaprosicie i znowu będzie problem. No i nie wypasajcie swej krowy na łące Warzechy, bo następnym razem wlepię wam mandat!

Zych jednak nawet nie zaprotestował w sprawie oskarżenia o wypasanie krowy, nadal był pod wrażeniem możliwości aresztowania przez UB.

– Panie komendancie, dziękuję, dziękuję. Tylko zamiast kur dam królika, bo kury mam nośne, szkoda ich zabijać.

– Niech będzie królik, ale żeby nie był jakiś liliput, mikrus! No i obierz go ze skóry, moja żona nie lubi się z tym babrać, a ja też niezwyczajny tej roboty.

– Skądże znowu mikrus, duży królik! Tuczyłem go na Wielkanoc. Pan komendant chwilę poczeka, ja szybko załatwię tego królika – rzekł obrażony Zych i podsunął drewniane, zdezelowane krzesło.

Dziarmaga rozsiadł się na krzesle, włączył radioodbiornik do sieci, znalazł radiostację z ludową, wesołą muzyką i poczuł się jak w siódmym niebie. Swojskie melodie w połączeniu z wypitym bimbrem nastroiły go niezwykle przyjaźnie do całego świata.

– Przydałby się tak codziennie taki donos – zamarzył.

Wkrótce wrócił Zych z obdartym ze skóry i wypatroszonym królikiem. Dziarmaga wyłączył radio, wpakował królika do worka, a wódkę wsadził do drugiej przepastnej kieszeni spodni.

– Zych, zapakuj radio do kartonowego pudła – rozkazał.

Tak więc komendant milicji w Dąbrowie sierżant Dziarmaga dzięki donosowi politycznemu wyjechał od Zycha i Warzechy z trzema kurami, królikiem w worku, z półlitrowką wódki oraz litrem piekielnie mocnego bimbrowa w kieszeniach i z doskonałej jakości niemieckim radiem. Ale nie ma co mu zazdrościć tej zdobyczy, słusznie należy mu się ona za „życiową mądrość”.

Dzięki niemu szczęśliwie zakończyła się sprawa jedyne donosu politycznego w historii Dąbrowy.

Podporucznik Kędziora

Oficerowie wydziału śledczego X departamentu w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego jak zwykle z rana siedzieli przy biurkach i pisali raporty dla swych przełożonych. Podporucznik Kędziora, młody, przystojny i wysoki blondyn, męczył się najbardziej ze wszystkich oficerów przy pisaniu swojego raportu. Powód był istotny, mianowicie przy próbie aresztowania podejrzanego, tenże podejrzany uciekł przez okno. Jak na złość, tego właśnie okna pilnował Kędziora. Podejrzany z wielkim rozpędem wyskoczył przez okno, przeleciał nad głową zaskoczonego Kędziory i wylądował na stogu siana po drugiej stronie wysokiego parkanu. Zanim Kędziora wyciągnął rewolwer, zanim wdrapał się na parkan... podejrzany był już w przyległym lesie.

– Cholera, chyba dostanę pisemną naganę – jęknął Kędziora nad swoim raportem.

Pozostali oficerowie śledczy uśmiechali się złośliwie. Nikt mu nie współczuł, koledzy byli zadowoleni z jego niepowodzenia. Po takiej wpadce Kędziora przez co najmniej rok nie może liczyć na awans i nagrody. Czyli jeden konkurent mniej w wyścigu do awansów.

Nagle do pokoju śledczych wpadł podpułkownik Józef Światło – szef Wydziału. Wpadł jak burza. Oficerowie poderwali się gwałtownie zza biurka.

– Gdzie jest Kędziora?! – krzyknął Światło.

Kędziora zerwał się zza biurka i podbiegł do niego.

– Melduję się na rozkaz, towarzyszu pułkowniku.

– Dlaczego nie aresztowaliście wczoraj podejrzanego?
– Uciekł...
– Jak to uciekł?!
– Moja wina, towarzyszu pułkowniku – zacerwienił się Kędziora.
– Toś ty dupa wołowa, a nie oficer – rzekł Światło i z całej siły uderzył Kędziorę w twarz. Pokazała się krew. Kędziora zachwiał się od siły uderzenia, mimo że nie był z niego ułomek.

– Natychmiast macie dostarczyć swój raport bezpośrednio do ministra Romkowskiego – rozkazał sucho Światło i wyszedł szybkim krokiem. Kędziora złapał się za nos, ocierając krew.

– Złamał mi nos – jęknął Kędziora.

Koledzy pospieszyli z pomocą, zatamowali krew.

– Ja mu tego nie daruję – rzekł twardo Kędziora.

Koledzy natychmiast odsunęli się od niego i zajęli się pilnie pisanie raportów. Kędziora zgarnął raport ze swojego biurka i poszedł zameldować się do generała Romkowskiego. Był nieco ogłuszony uderzeniem, bolał go nos, ale najbardziej cierpiał z powodu urażonej dumy. Na oczach kolegów został sponiewierany przez szefa. Jego autorytet równał się teraz zeru. Z pewnością wieść o tym wydarzeniu rozejdzie się po wszystkich departamentach i wydziałach Ministerstwa Bezpieczeństwa. Postanowił złożyć skargę na Światłę u Romkowskiego.

W sekretariacie ministra nie czekał długo, widocznie Romkowski spodziewał się jego przybycia.

W gabinecie Kędziora zastał Romkowskiego oraz... Światłę. Starał się nie patrzeć na niego.

– Towarzyszu generale...

– Dobra, dobra, dawajcie ten raport – rzucił mu sucho Romkowski.

Kędziora podał raport. Generał zagłębił się w czytanie, Światło zaś patrzył przenikliwie na Kędziorę swymi szklanymi oczami.

– Nie jestem z was zadowolony, otrzymacie naganę na piśmie za zaniechanie obowiązków służbowych. Pracujecie w Urzędzie Bezpieczeństwa już rok i nie powinna się wam wydarzyć taka głupia wpadka.

– Towarzyszu generale... Chciałem złożyć skargę na pułkownika Światłę – rzekł błady jak ściana Kędziora.

– Skargę... Jaką znowu skargę? – Romkowski popatrzył na niego zdumiony.

– Pułkownik Światło uderzył mnie i złamał mi nos. I to w obecności innych oficerów.

Romkowski popatrzył na Światłę, a ten potwierdził kiwnięciem głową. Zaskoczony Romkowski zamyslił się przez chwilę.

– Bardzo to nieładnie ze strony waszego szefa, ale wiecie, Kędziora, jak to jest... Każdy może stracić nerwy w tak trudnej i odpowiedzialnej pracy. Także przełożeni. Proponuję, abyście walnęli towarzysza pułkownika w rewanżu, także w nos i będziecie kwita.

Tu spojrzął z miłym, serdecznym uśmiechem na Światłę.

– Tak jest, rozkaz towarzyszu generale... To dobry pomysł... – rzekł przeciągle Światło.

– Jak to, mam uderzyć przełożonego?! – spytał zaszokowany Kędziora.

– Przełożony się zgadza i tym sposobem sprawa zostanie załatwiona honorowo we własnym gronie. Jak między mężczyznami i oficerami UB.

– Z całej siły?

– Z całej siły – rzekł Światło i wyszedł do niego, nadstawiając policzek.

– Wal synu, ale... mocno – wesołym głosem powiedział Romkowski, uśmiechając się od ucha do ucha.

Kędziora przez chwilę stał zdumiony, ale wreszcie zdobył się na odwagę i zamachnął się prawą ręką, aby wyprowadzić potężny cios. Ale cios nie doszedł celu, bo Światło go uprzedził i błyskawicznie kopnął Kędziore w krocze. Kędziora zwinął się z bólu i padł na podłogę. Światło otworzył drzwi do sekretariatu, gdzie już czekali dwaj funkcjonariusze.

– Do celi z nim! – rozkazał Światło.

Funkcjonariusze wywlekli jęczącego z bólu Kędziore.

– Ho, ho... Ciągłe masz dobry refleks i świetną kondycję – pochwalił Romkowski, zapalając papierosa.

Wypuścił dymek w postaci kółeczka, obserwował jego wędrówkę w powietrzu, i zadowolony z siebie dodał po chwili:

– Twój tatuś, stary Fleischfarb mógłby być z ciebie dumny.

– Towarzyszu generale, co zrobić z Kędziore? – spytał Światło, zbywając milczeniem uwagę o jego żydowskim pochodzeniu.

– To, co zwykle się robi z zamachowcami na władzę ludową! – rzekł lodowatym głosem Romkowski i zagłębił się w papierach.

W ten sposób los podporucznika Kędziory został przypieczętowany. Po kilku dniach tortur i pobycie w zimnej i ciemnej celi o wymiarach dwa na dwa metry, polewany lodowatą wodą, podporucznik Kędziora przyznał się do próby zabójstwa swego przełożonego i do współpracy z obcym wywiadem. Bez procesu sądowego pewnego wieczoru został rozstrzelany w piwnicach Urzędu Bezpieczeństwa. Miejsce jego grobu do dzisiaj nie jest znane.

Gwiazda Armii Czerwonej

Miałem około pięciu lat, gdy mama zabrała mnie do wojewódzkiego miasta Wrocławia. Nie pamiętam w jakim celu. Być może do lekarza laryngologa w Akademii Medycznej, gdyż ciągle miałem problemy z migdałkami. Ale nie jestem tego pewny, po prostu nie pamiętam. Za to pamiętam dokładnie spotkanie z żołnierzami Armii Czerwonej na peronie dworca. Żołnierze wyglądali przez okna pociągu osobowego stojącego na peronie. Być może pociąg wiozł ich do domów, do Rosji, a być może wiozł ich z Rosji do Legnicy, gdzie mieściło się dowództwo Północnej Grupy Armii Czerwonej w Europie Wschodniej.

Nudziłem się długim, kilkugodzinnym oczekiwaniem na nasz pociąg do Dąbrowy. Kręciłem się więc w pobliżu mamy siedzącej na ławce. Na szczęście dla mnie, żołnierze także się nudzili. Jak długo można siedzieć w zamkniętych wagonach i gapić się bezmyślnie przez okna, tym bardziej że peron był pusty?

Jeden z żołnierzy coś do mnie powiedział, ale oczywiście nic nie zrozumiałem.

Pobiegłem do mamy: – Mamo, co on do mnie mówi?

– On mówi po rosyjsku, więc ty nic nie zrozumiesz.

Mama podeszła ze mną do okna wagonu. Zaczęła rozmawiać z żołnierzami po rosyjsku.

Byli zdziwieni, że trafili na osobę znającą ich język. Ja także z nimi rozmawiałem, ale po polsku, a mama musiała im tłumaczyć moje słowa. Było fajnie, bo już się nie nudziłem na pustym peronie. Żołnierze

stanowili dla mnie wielką atrakcję. Prawdopodobnie ja także byłem atrakcją dla nich, co chwila bowiem wybuchali głośnym śmiechem.

Żołnierze mieli zielone mundury i furażerki z pięknymi, czerwonymi gwiazdami z porcelany. Bardzo mi się podobały te gwiazdy. Świeciły w słońcu niczym brylanty. Mundury i furażerki były z byle jakiego materiału, byle jak uszyte. Ale za to te gwiazdy... to było coś wspaniałego! Patrzyłem na nie z podziwem.

Widocznie żołnierze zauważyli w moich oczach ten podziw, bo jeden z nich wskazał na gwiazdę na swej furażerce i spytał: – Czy chcesz taką gwiazdę?

Mama nie musiała tłumaczyć. Kiwnąłem głową, że chcę. Żołnierz odpiął więc gwiazdę ze swojej furażerki i dał mojej mamie, a ta wręczyła ją mnie.

Pełnia szczęścia!

Od tej chwili nic mnie nie interesowało, tylko ta piękna, błyszcząca w słońcu gwiazda. Wkrótce nadjechał nasz pociąg, pożegnaliśmy żołnierzy. Ja długo machałem im ręką z wdzięczności za podarunek, w drugiej ręce ściskałem w garści mój drogocenny nabytek.

Przyjechaliśmy do domu wieczorem. Kolacja i czas spać. Spałem oczywiście z furażerką (nie była to oczywiście furażerka wojskowa), do której mama przypięła mi moją gwiazdę. Sen miałem także wojskowy, a w tym śnie ja, jako kapitan Armii Czerwonej z gwiazdą przypiętą do wojskowej furażerki, goniłem hitlerowców.

Ale największa frajda była następnego dnia. Pokazałem furażerkę chłopakom. Podziwiali ją i każdy z nich po kolei zakładał ją na chwilę. Gwiazda zrobiła na nich wielkie wrażenie, nikt z nich takiej nie widział do tej pory. Potem bawiliśmy się jak zwykle w wojnę z Niemcami. Ja dzięki gwieżdzie miałem zapewniony tytuł generała Armii Czerwonej. Jako jedyny z chłopców miałem drewniany czołg pomalowany na zielono. Czołg miał ruchomą wieżę strzelniczą, a nawet liczne drewniane koła imitujące gąsienice czołgu. Czasami pozwalałem kolegom bawić się nim. Obecnie czołg poszedł w odstawkę, koledzy bardziej zainteresowani byli czerwoną gwiazdą.

Od czasu do czasu, gdy miałem dobry humor, pozwalałem niektórym chłopcom na noszenie mojej furażerki z gwiazdą. Pewnego dnia doszło jednak do dziwnego zdarzenia.

Oto wracający z knajpy „Sielanka” stary Jurczyk zobaczył mnie w furażerze z gwiazdą i ryknął:

– Zdejmij natychmiast tę gwiazdę, ty kacapie! Jesteś Polakiem... Przypnij orła z koroną! Bo jak nie, to ci zrobię cud nad Wisłą!

Nie bardzo wiedziałem, o co mu chodzi, ale uciekłem na wszelki wypadek. Z pijanymi nigdy nic nie wiadomo.

– O co mu chodzi? – spytałem chłopców.

Nikt nie wiedział.

– Co to znaczy kacap?

– Kacap to znaczy... Ruski – rzekł Adam.

– No dobrze, ale co to znaczy cud nad Wisłą? – tego nawet Adam nie wiedział.

– Mówił, żebym założył orła z koroną... To niegłupi pomysł, ale gdzie można kupić takiego orła?

To pytanie także pozostało bez odpowiedzi.

Na wszelki wypadek podczas zabaw w wojnę z Niemcami przenosiliśmy się z podwórza do ogrodu. Jeden z nas stał przy bramce na czatach i miał ostrzegać gwizdem, gdyby ujrzał nadchodzącego pijanego Jurczyka. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. W ogrodzie też mieliśmy dobre warunki do zabawy w wojnę. Ogród był ogrodzony wysokim murem, było w nim pełno drzew i krzaków, za którymi można było się chować. Przy starej, dużej gruszy była siedziba Stalina, przy dużej zaś czereśni w drugim końcu ogrodu, była siedziba Hitlera. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Hitler

Naprzeciw naszej trzypiętrowej kamienicy, po drugiej stronie ulicy, w parterowym i bardzo zniszczonym domku jednorodzinym mieszkał stary Niemiec z psem. Dom Niemca był naprawdę w kiepskim stanie. Tynk zewnętrzny odpadał, w rynnach rosły chwasty i krzaczki. Ogród od strony ulicy zarósł chwastami. Stary Niemiec także wyglądał kiepsko. Chudy, brudny, nieogolony i w poszarpanym ubraniu.

Gdyby nie to, że na sąsiedniej ulicy Nadbrzeżnej, niedaleko od nas, mieszkali normalni Niemcy, to sądziłbym, że wszyscy Niemcy wyglądają jak ów stary. Wyglądał raczej jak... polski dziad, a nie jak Niemiec.

Ale pies wyglądał normalnie... jak pies. Nie za duży i nie za mały. Miał krótką sierść. Widać było, że nie cierpiał na nadmiar pożywienia, bo był chudy jak jego pan. Gdy Niemiec szedł ulicą Świdnicką, to wierne towarzyszył mu jego pies.

Był rok 1946 i my, chłopcy, nienawidziliśmy Niemców. Dlatego też na starego Niemca, gdy tylko ukazał się na ulicy wołaliśmy:

– Hitler, Hitler kaput!

Niemiec coś tam mruczał pod nosem i szedł dalej, nie zwracając na nas uwagi. Obojętność starego Niemca jeszcze bardziej nas denerwowała.

Pewnego razu chłopcy zaczęli rzucać kamyczkami w psa, który jak zwykle, noga za nogą człapał za starym. Ja także podniosłem z ziemi kilka kamyczków i zacząłem rzucać. Niemiec coś tam burknął do psa i... ten nas niespodziewanie zaatakował!

My oczywiście w nogi. Niestety, pies był szybszy od nas i dopadł akurat mnie, a raczej dopadł... mój tyłek.

Ugryzł mnie, ale niezbyt mocno. Było to ukąszenie... kontrolowane. Widocznie był przeszkolony albo też lubił dzieci, bo gdyby chciał, to mógł mi wyrwać solidny kawał tyłka.

Mocno nas ten pies postraszył, bo od tej pory nie rzucaliśmy w niego kamieniami, tylko wołaliśmy z daleka: – Hitler, Hitler!

W owym czasie była to największa obraza, gdy kogoś tak się nazywało. Jak wspomniałem, niedaleko mostku przy Nadbrzeżnej mieszkali Niemcy na gospodarstwie.

Mieli dwóch synów, jednego, młodszego i spokojnego, a drugiego starszego, chuligana. Ciągle kłócili się między sobą i ten spokojny podczas kłótni krzyczał na brata: – Hitler, Hitler!

Czasami my, polskie dzieci, włączaliśmy się do bójki braci i oczywiście wówczas starszy brat dostawał sromotne lanie, mimo że był silniejszy od młodszego brata.

Pies jednak nic sobie nie robił z nas i z naszych obraźliwych okrzyków. Pewnego dnia rozeszła się po Dąbrowie wieść, że stary Niemiec zmarł i musiała to być prawda, bo już nigdy więcej go nie widziałem. Pies Hitler pozostał samotny. Okazało się zresztą, że to była „psia kobieta”, czyli suka. Nadal jednak z przyzwyczajenia używaliśmy imienia Hitler. Po kilku dniach ujrzałem Hitlera, jak grzebał w śmietniku, szukając pożywienia. Żał mi się go zrobiło. Lubiłem psy, koty. Ciągle sprowadzałem je do domu z ulicy, a mama niestety je następnie wyrzucała za drzwi. Poszedłem do domu po resztki jedzenia i wyniosłem Hitlerowi. Rzucił się na jedzenie łapczywie, ale nie podszedł do mnie zbyt blisko. Jadł i łypał jednym okiem w moją stronę, obserwując mnie bacznie, gotów do ucieczki. Jednym słowem, był nieufny niczym... Hitler.

Od tej pory codziennie wyносил Hitlerowi coś do jedzenia. Nie było tego zbyt wiele, bo czasami w naszym domu brakowało kiełbasy i mięsa. Nie brakowało jedynie ziemniaków, kapusty kiszzonej i letnią porą warzyw. Hitler na szczęście nie gardził gotowanymi ziemniakami i burakami, suchym chlebem i tak dalej. Jadł dosłownie wszystko, co mu tylko wpadło w zęby. Mama zauważyła, że dokarmiam Hitlera i skrzyczała mnie.

- Nie wnoś mi z domu jedzenia, i to w dodatku dla niemieckiego psa!
- On się nawrócił i został Polakiem – broniłem Hitlera.

Mama roześmiała się i machnęła ręką na dokarmianie Hitlera.

Odtąd sama zaczęła przygotowywać dla niego jedzenie, podobnie jak szykowała strawę dla świni i dla kur.

- Jedna gęba więcej do żywienia – narzekała czasami, gdy była w złym humorze, co najczęściej zdarzało się kilka dni przed wypłatą. Hitler oswoił się ze mną na tyle, że dał się nawet pogłaskać. Mieszkał nadal w zrujnowanym domku starego Niemca, ale rano już na mnie czekał przed kamienicą. Zaczął mi towarzyszyć w moich wyprawach na sąsiednie łąki. Biegał i skakał wówczas jak wariat. Traciłem go czasami z oczu, gdy pobiegł za zającem. Ale zawsze wracał. Czułem się z nim bezpieczny. Pewnego razu, gdy otoczyli mnie chłopcy z sąsiedniego podwórka z zamiarem „dania mi wycisku”, Hitler rzucił się na nich, warcząc i pokazując swoje kły. Pouciekali i to dość szybko.

Od tej pory byłem „nietykalny” dla moich wrogów.

Pojawiał się natychmiast, gdy zagwizdałem. Inni chłopcy próbowali gwizdać na niego, ale na ich gwizdanie Hitler się nie pojawiał. Miał dobry słuch i odróżniał mój gwizd od innych.

Niemal codziennie mama zmuszała mnie, abym szedł paść owcę z owieczkami na pobocza okolicznych ulic lub też na porośniętą trawą bezpieczny plac, położony za fabryką zegarów. Nie lubiłem tego nudnego zajęcia, ale obecnie z Hitlerem było mi weselej i wygodniej. Ja kładłem się na trawie i spałem, a on pilnował owiec. Później mama sprzedała owcę i zastąpiła ją kozą. Z nią Hitler miał nieco więcej roboty, bo nie lubiła zbyt trawy i domagała się, żebym nachylał jej gałęzie krzaków i niskich drzew (szczególnie smakowała jej osika).

Warczał więc na nią i gryzł ją po tylnych nogach, gdy oddalała się w poszukiwaniu smakowitych liści krzaków, a ona starała się trafić go rogami w oczy. Krótko mówiąc, nie żyli w przyjaźni.

Nawet się nie spostrzegłem, jak minęły dwa lata. Poszedłem do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Hitler odprowadzał mnie do szkoły, a był to ładny kawałek drogi do Dolnej Dąbrowy, poniżej budynku olbrzymiego młyna i miejsca, gdzie rosła olbrzymia lipa, na której wisiała tabliczka z napisem „Ta lipa ma 500 lat i jest pod ochroną”. Hitler

każdego dnia odprowadzał mnie do szkoły i każdego dnia oczekiwał pod szkołą przed zakończeniem lekcji. Jedynie pierwszego dnia włązł za mną do klasy i położył się u moich nóg ku przerażeniu uczniów i nauczycieli.

Musiałem go wyprowadzić i... długo tłumaczyłem mu, że nie jest to szkoła dla psów. Za to spotykaliśmy się z Hitlerem na przerwach między lekcjami. Pies stał się ulubieńcem uczniów.

Przynosili mu jedzenie, na ogół kromki chleba, zdarzały się i kawałki kielbasy. Pewnego razu Szulc, którego rodzina otrzymywała paczki z Ameryki, przyniósł kawałek konserwowej szynki. Zbiegła się niemal cała szkoła, aby oglądać tę szynkę. Dzięki temu moja mama mogła nieco zaoszczędzić na żywieniu Hitlera.

Minęło kilka kolejnych lat. Hitler i ja starzeliśmy się. Hitler jednak szybciej ode mnie. Pewnego dnia usłyszałem chrobot do drzwi naszego mieszkania na pierwszym piętrze. Otworzyłem drzwi... a pod drzwiami stał mój wierny Hitler, ale na przednich łapach jedynie, bo tylne włokły się bezwładne.

– Hitler... Co ci jest? – rozpląkałem się na jego widok.

Oczywiście nie odpowiedział, zaskomlał jedynie żałośnie. Nakarmiłem go, dałem mu wody. Poleżał wygodnie na poduszce, którą mu przyniosłem z sypialni. Przytuliłem go, głaskałem. Mruczał z zadowolenia. Wreszcie zasnął, obudził się po godzinie i powlókł się do drzwi. Gdy otwierałem, rzucił na mnie smutne spojrzenie. A mnie zrobiło się jeszcze bardziej żal przyjaciela i łzy z oczu pociekły mi ciurkiem. Wypuściłem go. Powlókł się z trudem schodami na parter.

– Hitler, jak wyzdrowiejesz, to wracaj natychmiast, najlepiej dzisiaj wieczorem – krzyknąłem za nim.

Wydawało mi się, że pokiwał głową. Powlókł się w ruiny swego domu, naprzeciw naszej kamienicy, gdzie miał legowisko. Nie pojawił się jednak na drugi dzień. Poszedłem więc w ruiny z pożywieniem. Nie znalazłem go. Nie pojawił się na moje gwizdanie. Czekałem długo i wreszcie zrezygnowałem, zostawiłem miskę z jedzeniem w ruinach. Wróciłem do domu z pękniętym z żalu sercem.

– Zdechł pewnie, bo psy jak zdychają, to im się tylne nogi robią bezwładne – wyjaśniła mi mama.

Ale ja w to nie wierzyłem. Sądziłem, że to przejściowa choroba. Codziennie siadałem na mostku przed domem i gwizdałem, oczekując na swego przyjaciela. Hitler nie pojawił się jednak już nigdy. Dopiero po miesiącu uznałem smutny fakt, że naprawdę nie żyje. Ale mimo to nadal codziennie wieczorem siadywałem samotnie na mostku przed naszą kamienicą i wpatrywałem się w zrujnowany domek po drugiej stronie Świdnickiej, ot, tak na wszelki wypadek. A nuż pokaże się w ruinach domu. Ciągle skrycie wierzyłem, że pojawi się któregoś dnia, jak zwykle merdając ogonem na mój widok.

Następnego roku zburzono zrujnowany domek starego Niemca i wywieziono gruz. Pozostał w tym miejscu jedynie pusty plac. Nie pozostał żaden ślad po starym Niemcu i jego psie Hitlerze, poza śladem w mej pamięci.